Nr. 183. Lwów — Czwartek dnia 12 Sierpnia. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.
Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z wszelkimi pocztowej wysył.: w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct. w Niemczech . . . 1 „ 50 „ w innych państwach . . . [illegible]
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct. [illegible] słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „ tłustym garmondem po . . . . 5 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 25 ct. od wiersza.

Dziś: 12 św. Klary P. Jutro: 13 św. Hipolita M. | Jewdokima 1 Awh. Pr. s.k. | Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.* | Wschód słońca o 4 m. 57 Zachód „ 7 „ 9 | Długość dnia g. 14 m. 12 Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 sierpnia.

Potworna szajka morderców anarchistycznych znów przypomniała się światu. W ustronnym zakątku Santa Agueda nad Atlantykiem, oddalonym o 50 kilometrów od San Sebastiano, gdzie przebywa obecnie królowa rejentka Krystyna z całym dworem, padł z ręki mordercy Canovas del Castillo, mąż wielce zasłużony, gorący patryota, który całe swe życie oddał na usługi ojczyzny. Do tego niepozornego wcale i mało uczęszczanego miejsca kąpielowego, Santa Agueda, schronił się Canovas, aby bodaj przez kilkanaście dni być zdala od hałaśliwego życia dworskiego i w ścisłem kółku rodzinnem na łonie przyrody wypocząć cokolwiek po trudach i nabrać sił do dalszego dźwigania brzemienia rządów swej skołatanej ojczyzny. Nie przeczuwając nic złego, nie zwrócił nawet uwagi na to, że razem z nim przybył do Santa Agueda człowiek przyzwoicie odziany, o eleganckich manierach, i zamieszkał pod jednym dachem z nim, w miejscowym kurhauzie. Ostatecznie nic w tem dziwnego, że jakiś nieznajomy zajechał do tego samego hotelu, co minister, więc też i policya miejscowa nie zwracała na to uwagi. Dziesięć dni bawił Canovas w Santa Agueda i codzień spotykał owego nieznajomego w okularach i w ciemnem ubraniu, który nawet kłaniał mu się bardzo grzecznie; raz zapytał Canovas swego sekretarza, kto to jest ów tajemniczy gość kąpielowy i dowiedział się, że w księdze meldunkowej zapisał się on jako Emil Rammaldini, buchalter i korespondent dziennika *Popolo*. Więcej nie troszczył się Canovas o niego, przyzwyczaił się do jego widoku i do tego, że spędza czas na przechadzce, kąpaniu się i pracy. On zaś nieznajomy upatrywał tymczasem tylko dogodnej chwili, aby znaleźć się sam na sam z ministrem i zabić go.

Niestety dopiero dziś, po dokonaniu tej okropnej zbrodni, wszystkim jasno jest dla czego ów człowiek jak cień postępował zawsze za Canovasem, przedtem uważano to za prosty przypadek. W sobotę zrobił Canovas wycieczkę do starożytnego klasztoru za miasteczkiem, gość kąpielowy i tam był, ale nie mógł się zbliżyć do Canovasa, gdyż on był z towarzystwem, w niedzielę rano był na mszy w kościele miejscowym, znów chciał się zbliżyć do upatrzonej ofiary, gdy wychodziła z kościoła i znów obecność innych uchroniła Canovasa od śmierci, dopiero w południe dosięgnął go los straszliwy. W niedzielę przed południem na śniadanie Canovas z żoną zeszedł z pierwszego piętra, by się udać do sali jadalnej. W przedsionku jednak żona Canovasa spotkała siostrę jenerała Olawlofa i wszczęła z nią rozmowę, Canovas zaś poszedł do ogrodu, usiadł na ławeczce i zaczął przeglądać najświeższe dzienniki. Wtedy zbliżył się doń ów nieznajomy, wyjął rewolwer z kieszeni i strzelił raz drugi i trzeci. Wszystkie trzy strzały trafiły nieszczęśliwego ministra, jeden w głowę, dwa w piersi. Dwaj goście kąpielowi, znajdujący się w pobliżu, przybiegli, zbiegła się i służba, znalazł się na końcu i urzędnik policyjny i żandarm, lecz wszystko było już za późno, Canovas dogorywał. Zaniesiono go do jego apartamentów, a tymczasem służba hotelowa i goście kąpielowi szamotali się z mordercą, który opierał się aresztowaniu. Ubezwładniono go w końcu, odebrano rewolwer i zaprowadzono go do biura telegraficznego, pocztem zdołano zaaresztować.

Jakie jest jego prawdziwe nazwisko, dotychczas na pewno nie wiadomo, sędziemu śledczemu podał, że nazywa się Michał Golli, według innych zaś wersyi nazywa się José Santo lub Michał Angeolitto. Pewnem na razie jest tylko to, że jest Włochem z pochodzenia i anarchistą. Do anarchizmu przyznaje się otwarcie i oświadczył sędziemu śledczemu, że czyn jego był zemstą za męki, jakie musieli ponosić jego bracia anarchiści w Barcelonie. Spólników zbrodni nie chce wyjawić i oświadcza, że ich nie ma. To zdaje się być nieprawdą, przeciwnie wszystko wskazuje na to, że jest to w grze szeroko rozgałęziony spisek anarchistyczny, mający siedzibę w Paryżu. W tym samym dniu bowiem, w którym zamordowano Canovasa, odbyło się w Paryżu zgromadzenie socyalistów i anarchistów, na którem anarchista hiszpański Tarrida opowiadał, że w więzieniach w Barcelonie anarchistów brano na tortury, że wyrywano im paznogcie, nakładano kajdany zaopatrzone w ostre haczki szarpiące ciało, że to z rozkazu Canovasa męczono tak anarchistów i że Canovas musi zginąć. Nazajutrz zaś po dokonaniu morderstwa zawiadomiona została policya paryska, że w pewnej szynkowni w Grenelle odbyło się w niedzielę rano, a więc w dniu morderstwa, zgromadzenie anarchistów, na którem jeden z mówców rzekł, że godziny Canovasa są już policzone. Cała armia ajentów policyjnych tropi teraz uczestników tych dwóch zebrań. Nadto wychodzi teraz na jaw, że przed kilku tygodniami jakiś anarchista włoski zwrócił się do rewolucyjnego komitetu kubańskiego, mającego swą siedzibę w Paryżu, z propozycyą, aby dostarczono mu funduszów na wykonanie całego szeregu zamachów w Hiszpanii i zgładzenie kilku najwybitniejszych osobistości, między niemi Canovasa. Komitet kubański odrzucił tę propozycyę i nie zajmował się więcej tą sprawą.

Z życia zamordowanego męża stanu podnieść należy następujące ważniejsze szczegóły. Urodzony w roku 1826 w Maladze, zyskał wcześnie rozgłos jako poeta i historyk i został członkiem akademii. W roku 1851 założył w spółce z kilku innymi patryotami dziennik *Patria*, a w r. 1854 po raz pierwszy wybrany został do kortezów jako reprezentant Malagi. W roku 1856 wysłany został w specyalnej misyi do Rzymu i wypracował historyczny memoryał o stosunkach Hiszpanii do Stolicy św., który posłużył za podstawę do zawarcia konkordatu. Następnie był gubernatorem Kadyxu, podsekretarzem stanu w ministeryum spraw wewnętrznych, a w r. 1864 został po raz pierwszy ministrem. Piastował tekę finansów i kolonii. Na tem stanowisku położył wielkie zasługi i jego to głównie staraniom zawdzięczyć należy zniesienie niewolnictwa w koloniach hiszpańskich. Aż do wybuchu rewolucyi w r. 1868 bronił Canovas zawsze w kortezach zasad liberalnych i na konstytucyjnem zebraniu tegoż roku zwycięskiemu sztandarowi republikańskiemu przeciwstawił sztandar konstytucyjnej, liberalnej monarchii. Nic więc dziwnego, że gdy w r. 1874 marszałek Martinez Campos przywrócił monarchię i Alfonsa XII osadził na tronie, Canovas został pierwszym prezydentem ministrów. Urząd ten piastował do roku 1879, w którym złożył go w ręce Martinez Camposa. Postępując zręcznie i rozważnie, utrwalił Canovas w czasie swych pięcioletnich rządów monarchię i dał Hiszpanii nową konstytucyę. W roku 1881 objął dowództwo partyi konserwatywnej w kortezach.

Po upadku liberalnego gabinetu objął Canovas w roku 1881 po raz drugi ster rządów i dzierżył go aż do śmierci Alfonsa XII w listopadzie 1885. Wtedy to sam zaproponował królowej rejentce utworzenie gabinetu liberalnego z Sagastą na czele, gdyż sądził, że liberalny gabinet potrafi skuteczniej zwalczać agitacye republikanów i karlistów aniżeli konserwatywny. W grudniu 1888 wybrany został prezydentem kortezów. W lipcu 1890 liberalny gabinet otrzymał dymisyę, a Canovas znów stanął na czele rządu i przeprowadził w kortezach uchwalenie powszechnego prawa głosowania i powrotu do systemu ceł ochronnych. Skutkiem rozdwojenia w łonie stronnictwa konserwatywnego ustąpił Canovas w grudniu 1892 ponownie miejsca liberalnemu gabinetowi Sagasty, a w roku 1895, gdy sytuacya na Kubie była coraz krytyczniejsza, a potrzeba energicznego rządu coraz [illegible] odczuwać się dawała, powołała królowa znów tego wypróbowanego przyjaciela i doradzcę do kierowania nawą państwową.

Raz już urządzili anarchiści zamach na Canovasa, ale bezskutecznie. Było to 21 czerwca 1893. Trzej anarchiści usiłowali wtedy wysadzić dom Canovasa w powietrze. Zaczaili się w ogrodzie i chcieli rzucić bomby w chwili gdy Canovas wróci z posiedzenia kortezów do domu. Jakiś obcy powóz jednak zajechał przed sztachety pałacu, jeden ze spiskowców nazwiskiem Alvarez, myśląc że to Canovas przyjechał, poskoczył w stronę powozu, ale bomba eksplodowała mu w ręce i raniła śmiertelnie jego i towarzysza jego, Ruiza. W kieszeni Alvareza znaleziono listy anarchistów z Barcelony, z których okazało się, że ci trzej zbrodniarze przybyli do Madrytu z szalonym zamiarem wysadzenia całej stolicy w powietrze i zgładzenie Canovasa. Śledztwo przeprowadzone wówczas wykazało, że w Barcelonie była siedziba szeroko rozgałęzionego spisku anarchistycznego.

Korespondencye.

Wilno 2 sierpnia.

Mamy już monopol wódczany. Monopol ten najwięcej dotknął proletaryat żydowski, w którego ręku znajdowały się od wieków karczmy i szynki. W samej gubernii wileńskiej znikło 13 lipca b. r. z horyzontu około 4.000 szynków dzierżawionych przez żydów, a jeżeli się zważy, że szynki te utrzymywały około 6.000 rodzin żydowskich, tem jaskrawiej wystąpi ten ekonomiczny przewrót, jaki nastąpił wskutek monopolu. 6.000 rodzin — pozbawionych chleba, 6.000 rodzin stanęło od razu nad przepaścią nędzy. Bo co mają ci ludzie począć? Wszak rzemiosła się z dnia na dzień nie wyuczą, a do innej produktywnej pracy niezdolni, pomnożą oni szeregi pasożytów społecznych i zbrodniarzy.

Że się dobrze stało, iż zniesiono szynki i karczmy, że na tem tylko zyska moralność ogółu — o tem chyba dwóch zdań nie będzie, trzeba jednak było z tymi paryasami, którym od razu odebrano możność zarobkowania, coś zrobić.

W miejsce dawnych szynków obskurnych i cuchnących, otwarto sklepiki rządowe propinacyjne. Sprzedaje się w nich wódkę w zamkniętych, opieczętowanych flaszkach, których w tych sklepikach pod groźbą grzywny i konfiskaty wódki otwierać nie wolno. Sklepiki te schludne, przypominają swemi rozmiarami trafiki lwowskie — miejsca w nich zaledwie na trzy osoby — o pozostawaniu więc dłuższem w tych lokalach mowy być nie może.

Karczmy i szynki bez wątpienia rozwijały i potęgowały pijackie nałogi, gdyż w towarzystwie z łatwością przebierała się miarka, którą nieustannie podsuwał łakomy na zysk szynkarz. Jedyny ten punkt zborny chłopów i wyrobników zastąpią obecnie zakładane przez t. zw. „kuratorye trzeźwości" herbaciarnie, w których za minimalną opłatą otrzymają konsumenci herbatę i przekąski. W lokalach tych znajdą odwiedzający je goście pouczającą lekturę, a od czasu do czasu urządzane będą tam tańce i tym podobne zabawy. Raczenie się trunkami w herbaciarniach będzie bezwarunkowo wzbronionem. „Kuratorye trzeźwości" powstają staraniem szacunku godnych obywateli, którym podniesienie moralności wśród najniższych warstw ludności leży na sercu. Oddadzą one niechybie społeczeństwu ogromne usługi.

Żniwa tegoroczne rozpoczęte o dwa niemal tygodnie wcześniej niż zazwyczaj, wykazują lepsze niż się spodziewano rezultaty. W prawdzie na ogół ilość zwiezionego do stodół żyta jest mniejszą, niż w roku ubiegłym, odznacza się ono jednak ziarnem o wiele lepszem. Pszenica zasiewana w ziemiach litewskich w wyjątkowych tylko okolicach i w niezbyt wielkiej ilości, dała również plon niezły, a także len i kartofle należą w tym roku do wyjątkowo ładnych.

Z innych gubernii dochodzą nas mniej pomyślne wieści. W ogóle urodzajów w całem cesarstwie dobremi w tym roku nazwać nie można, a mimo to ceny na zboże u nas nie podnoszą się w tym stopniu, jaki widzimy z gazet w innych krajach.

Ruch budowlany wzmógł się w Wilnie olbrzymio. Gorączkowo zabudowują się przedmieścia, zmieniając się w ruchliwe i przestronne ulice. Przybyło w ostatnim czasie mnóstwo nowych kamienic, czynsze jednak nie obniżają się wcale, jakkolwiek ceny, które w Wilnie płacimy, są nieporównanie niższe, jak u was we Lwowie; za mieszkanie np. składające się z 6 pokoi, płacimy rocznie 400 rs.

P. O'Brien de Lassy rozpoczął na Wilii żeglugę parową. Lekki, ładny statek kursuje już od kilku tygodni pomiędzy Wilnem a Werkami W tych dniach zaś miały być spuszczone dwa jeszcze parowce. Dzięki lekkiej budowie zagłębiają się one zaledwie na 10 cali i dlatego nie osiadają na mieliznach, nawet przy niskim poziomie wody. Na statku pomieścić się może około 40 osób. Ułatwia to nam i uprzyjemnia wycieczki zamiejskie i przyniesie niewątpliwie korzyści przedsiębiorcy.

Przemysł fabryczny w gubernii wileńskiej, choć powoli, rozwijać się nie przestaje. Koncentruje się on przeważnie w Wilnie, oraz pow. wileńskim i wilejskim. Większość fabryk i zakładów przemysłowych znajduje się w ręku żydów, z wyjątkiem gorzelnictwa. W miejscowym tym przemyśle przeważają drobne fabryki, których produkcya roczna zaledwie przynosi 1.000 rs.

Do większych fabryk, oprócz gorzelni i piwowarni, należą: fabryki papieru (produkcya roczna około 600 tysięcy), kos i gwoździ (750 tysięcy), tytoniu (430.000 rs), huty szklane (około 500.000 rs.), tartaki (340.000) i wielkie młyny parowe i turbinowe. Ogólna zaś liczba większych i mniejszych młynów w gubernii wileńskiej wynosi około 800, połowa ich niemal uskarża się jednak na brak odbytu wyrobów swych. Według urzędowych danych, zebranych w roku zeszłym, gubernia wileńska posiadała w 1895 r. 1.432 fabryk z których 323 mieściło się w miastach i 1.110 w powiatach. Roczna ich ogólna produkcya wynosiła przeszło 8 milionów rs., a liczba robotników 8.200 ludzi. Ze wzrostem fabryk zaznacza się w gub. wileńskiej stopniowo liczebny upadek rzemieślników. W r. z. cyfra ta spadła do 7.500, wraz z czeladnikami i uczniami. Samych zaś majstrów liczono tylko około 3.000. Dwie trzecie części rzemieślników stanowią żydzi, jedną trzecią katolicy. W r. zeszłym, oraz bieżącym napłynęło sporo majstrów ze wschodnich gub. cesarstwa, używanych przeważnie do budowy.

Szkół rzemieślniczych nie posiadamy wcale. Do nich się bowiem chyba zaliczać nie mogą elementarne zakłady, istniejące przy wileńskich instytucyach dobroczynnych, z których żydowska Talmud-Tora najwięcej dba o rzemieślnicze wykształcenie swych wychowanków.

Szczątki litewskich zamków historycznych domagają się spiesznego ratunku przed ostateczną zagładą. Ruiny zamku giedyminowego dopiero ostatnimi czasy dostały się pod opiekę zapewniającą im konserwacyę; inne zaś zamki jak trocki, miednicki, lidzki, krewski i wiele innych rozpadają się powoli w gruzy.

Berlin 6 sierpnia.

Mamy więc erę bismarkowską, ale brakuje jej jednego, tj. Bismarka. I brak ten strasznie się mści na przedstawicielach tej ery w rządzie. Jemu, aż do usunięcia się z kanclerstwa, wszystko się udawało, im od czasu wstąpienia w regiony rządzących, wszystko się nie udaje. Era jego z nim razem zastygła.

Smutnej pamięci ustawa o stowarzyszeniach ośmieszyła ich. Spodziewano się więc, że twórca jej i niedołężny obrońca w sejmie, pan von der Recke poda się do dymisyi, tymczasem jedyną zmianą jest to, że w sprawach pruskich sędziwego prezesa gabinetu, ks. Hohenlohego, zastąpi również niemłody, ale energiczniejszy i bardziej wygadany minister skarbu, Miquel. Ale czy dyalektyczne zdolności p. Miquela wystarczą na pokrycie niezliczonych błędów, które popełnią jego ministeryalni koledzy, to pytanie. Oto już sama ustawa o stowarzyszeniach poderwała nogi pozycyi jego wobec parlamentu, gdyż pchnęła większość dawnych jego przyjaciół politycznych, tzw. narodowo-liberalnych w szeregi opozycyi. Zaostrzyło się zaś położenie przez świeże wypowiedzenie traktatu handlowego przez Anglię. Wszystko drży przed ewentualną walką handlową z tem państwem, o której wspominałem w korespondencyi poprzedniej. Na szczęście Anglia zgłosiła gotowość do nawiązania nowych układów.

Skutki takiej nierozmyślnej wojny mogłyby być tem gorsze, że rząd i tak już ma do walczenia z oburzeniem i niechęcią, wywołaną wewnętrznymi zatargami natury ekonomicznej. Oto pisałem wam w jednej z poprzednich korespondencyi o walce, którą berlińscy potentaci giełdowi wypowiedzieli rządowi za zniesienie handlu terminowego zbożem. Oto, skupiwszy się w stowarzyszenie prywatne, zaprzestali notowania kursów zbożowych. Choć jednak notowania urzędowego nie było, a może właśnie dlatego, ceny stały się zupełnie dowolne, gdyż giełdziarze w kółku swem nie liczyli się w ustanawianiu tych cen zupełnie już z interesami rolnictwa i młynarstwa. Naturalnie, że cała prasa agrarna poczęła wołać o zamknięcie tej prywatnej giełdy. Ale rząd, którego władza sięga tak daleko, jak daleko dojść mogą organa policyi, był przekonania, że stowarzyszenia w *Feenpalaście* pod rubrykę niedozwolonych giełd prywatnych podciągnąć nie można, a za tem niewłaściwem byłoby rozwiązywać ich przymusowo. Słowem rząd czuł się bezsilnym.

Inaczej się działo za czasów Bismarka; władza jego sięgała nawet tam, gdzie mu wystarczała sama siła fizyczna. Bismark był w stanie posługiwać się najrozmaitszymi środkami; jego arsenał walki był niewyczerpany, gdy szło o wywarcie presyi na nieposłusznych poddanych. Instytucye, które dziś naigrawają się z rozkazów rządu, czołgały się u nóg potężnego kanclerza. Izby handlowe niemieckie na żądanie Bismarka musiały nadsyłać swe sprawozdania, które tenże poddawał cenzurze, a raczej fałszował, aby wykazać słuszność polityki handlowo-celnej.

---

10)

DO IDEAŁU.

POWIEŚĆ

przez

DE TINSEAU.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V.

Liczniejsze, niż zwykle, towarzystwo zebrało się w niedzielę na obiedzie w Saint-Urbain. Markiz de Villegarde cieszył się skrycie myślą o turnieju, w jakim spodziewał się ujrzeć Thomassina z panem de Louarn. Lecz czy to pani Montgodefroy uprzedziła Thomassina, czy też on sam uważał socyalistę, nawet chrześcijańskiego, jako żołnierza armii sprzymierzonej, dosyć, że zetknięcie tych dwóch ludzi nie wywołało żadnego starcia, a rozmowa ich nie tyle wyglądała na dyskusyę, ile raczej na wymianę pojęć, jakkolwiek Ferréol starał się zręcznie wywołać sprzeczkę między nimi.

I teraz o mało mu się to nie udało, gdy zwróciwszy się do pani Lepin, młodej wdówki, ładnej, wielce światowej, blondyneczki, którą zaproszono ze względu na niego, zapytał:

— A panią czy także interesują kwestye socyalne?

— Przyznam się — odpowiedziała — że często nie rozumiem owych mądrych teoryj, ale znajduję to okrutnie niesprawiedliwem, że takie mnóstwo ludzi pracuje w pocie czoła od rana do nocy, gdy ja żyję swobodnie i nic nie robię. Oto w jakiej formie przedstawia mi się kwestya socyalna.

— Jak pani możesz utrzymywać, że nic nie robisz? — zawołał markiz. — Ja powiadam, że pani sama więcej pracujesz, niż dwadzieścia kobiet z ludu.

— Dwadzieścia, to za wiele — zaprotestował grzecznie Thomassin, którego wielkie uszy nie straciły ani słowa z tej rozmowy.

— A ja powiem: pięćdziesiąt — upierał się Ferréol. — Wartość pracy nie zależy od wielkości zużytego na nią wysiłku. Miarą wartości pracy, wedle pojęć socyalizmu, stanowi pieniądz nie ten, który się zarabia, lecz ten, który się wydaje. Robotnica, zarabiająca dwa franki za piętnaście godzin pracy, wydaje tylko swój dzienny zarobek, czyli dwa franki. Pani wchodzisz do magazynu, bawisz tam, dajmy na to, godzinę, i zamawiasz tylko jeden kapelusz za dwieście franków, zatem przez tę jedną godzinę uruchomiłaś pani kapitał, równający się wartości całodziennej, krwawej pracy stu wyrobnic.

— Chcąc utrzymać to założenie — odparł Thomassin, jakkolwiek nie lubił ścierać się z tak zręcznym szermierzem — musiałbyś mi pan dowieść, że modystka nie złożyła połowy tej sumy w banku Ta połowa zostaje stracona, gdyż ogół z niej nie korzysta, i jej właśnie domagam się dla proletaryatu.

— Wiele by ztąd dostało się każdej jednostce!

— Przypuśćmy jednak, że pani Lepin sama zrobiła swój kapelusz? W skutek tego modystka musiałaby odprawić jedną robotnicę, która pozostałaby przez to pozbawioną zarobku. To samo da się zastosować do krawcowej i do bieliźniarki. Widzisz więc pani, że wziąwszy się do igły, źlebyś się przysłużyła równowadze społecznej i wtedy społeczeństwo mogłoby mieć słuszny żal do pani. Otóż z tego, co się rzekło, wynika ta rada: niech pani nie posuwa tak daleko swoich skrupułów i sprawia w dalszym ciągu ładne toalety miarkując jednak o tyle swoje wydatki, aby pani została dobra sumka na wsparcia dla ubogich.

Piotr de Louarn słuchał dotychczas, nie mieszając się do rozmowy; nareszcie przedmiot pociągnął go i wtedy wypowiedział swoje zdanie.

— Markiz de Villegarde — rzekł — dowiódł nam bardzo słusznie, że cyrkulacya kapitału stanowi funkcyę obowiązkową w organizmie społecznym. Jest ona warunkiem jego istnienia, podobnie jak cyrkulacya krwi w ciele ludzkiem jest warunkiem życia. Ale pan Thomasin wskazuje nam szkopuł, czyli kapitał nagromadzony przez wytwórców-pracodawców. Dla tego też my obstajemy za tworzeniem spółek przez wytwórców-robotników.

— Brawo! panie de Louarn — zawołała pani domu. — Postęp winien panu wieniec laurowy.

— Och! ja tam się boję takiego postępu — rzekła wdówka. — Taka spółka wytwórcza robotnic od mojej modystki fabrykowałaby same brzydactwa. Nie mając kapitału, miałaby ordynarne materyały i przysyłałaby mi co miesiąc rachunek do zapłacenia.

— A tak, bez zaprzeczenia! — zawołał Thomassin, trzęsąc głową, na której łysina połyskiwała w świetle lamp kandelabrów. — Więc gdy stowarzyszeni robotnicy dadzą swą pracę, niezbędnem się stanie, aby kapitał dostarczył im środków do tejże pracy. Pani Lepin sama tego dowiodła. Jakże pan rozwiążesz to pytanie, panie markizie?

— Wcale go nie rozwiążę, gdyż ono nie jest możliwem do rozwiązania. Musiałeś pan widzieć kiedy zgrzybiałego starca, którego nękają rozliczne choroby, wymagające środków wręcz sobie przeciwnych. Leczysz go pan na płuca, to mu szkodzisz śmiertelnie na wątrobę. Wzywasz lekarza; znajduje on chorego nieuleczalnym, radzi wysłać słomą ulicę, zabiera się i odchodzi. Ja, panie konsyliarzu, podzielam w zupełności zdanie lekarza, a w dodatku nic nie biorę za konsultacyę. Nasze społeczeństwo przeżyło się i kończy na kilka chorób jednocześnie. Przyznaję, że pan niezupełnie jesteś winien temu, ale gdy ja próbuję wysłać ulicę słomą, pańscy przyjaciele ją rozdrapują.

Oprócz pani domu i Thomassina, wszyscy roześmieli się, szczerze zabawieni tą odpowiedzią, ale najgłośniej, najserdeczniej śmiał się Montgodefroy.

— Panowie i panie — rzekł, podnosząc w górę kieliszek — nie grzebmy jeszcze społeczeństwa! Jak markizowi de Villegarde, tak i społeczeństwu przybywa lat, ale nie wieku. Ono dziś jedynie zmienia tryb życia, innemi zajmuje się sprawami i innego używa języka, nic więcej. Ty, kochany Ferréolu, jesteś dziś równie miłym, jak przed dwudziestu pięciu laty, tylko jesteś miłym na inny sposób; piję na cześć twojej wiecznej młodości!

Tak więc rozpoczęta utarczka stłumioną, a raczej zalaną została. Zadzwoniły kieliszki, a Thomassin, na nieznaczne skinienie pięknej pani Marty, powstał i ukłonił się swemu najpoważniejszemu przeciwnikowi. Nie byłby się z tem nigdy pochwalił przed swymi „przyjaciółmi", o których markiz wyraził się tak dosadnie, ale pani Montgodefroy zależało na tem zbliżeniu, gdyż pragnęła, aby Thomassin został zaproszony na czas polowania do Villegarde. Zbliżenie to zaznaczyło się jeszcze mocniej, gdy po obiedzie towarzystwo przeszło do halli, ponieważ deszcz nie pozwalał pójść do ogrodu.

Po czarnej kawie zebranie rozpadło się na kilka grup oddzielnych. Jednę utworzyli starsi panowie, paląc aromatyczne hawana, i do tej należał Thomassin, powstrzymany w swym apostolskim zapale przez wzgląd, że ci „wyklęci" przypuszczali go do używania swoich zbytkownych przyjemności. Przed kominem, na którym płonęły ogromne polana, zebrały się kobiety, nieco opuszczone od panów w tej chwili. Panny nareszcie z nauczycielką i dwoma młodzieńcami, zebrały się za fortepianem. Fernand de Louarn manewrował w ten sposób, aby mógł usiąść przy Ludwice, lecz La Houssaye pociągnął go na teren neutralny, między etażerki i witryny z osobliwościami.

— Co ty robisz, nieszczęśliwy? — wybuchnął z udaną grozą. — Idź mi zaraz do kominka!

— Kiedy mi nie zimno ani trochę — odrzekł de Louarn.

— Nie zimno, kiedy jesteś lodowatym, przynajmniej dla pięknej Marty. Ruszaj zaraz i daj jej do zrozumienia, że ma prześliczne ramiona. Czy myślisz, że ona chce olśnić niemi kilka bab i panią Lepin, która zresztą ma również ten sam cel?

— No, a ty?

— E! ja się nie liczę, a przytem jestem pewny zaproszenia do Villegarde. Tymczasem ty powinieneś starać się zjednać sobie łaski wszystkich.

Fernand usłuchał tej rady, a La Houssaye powrócił usiąść przy Antoninie, która zdawała się czekać na niego.

— Czy pan Thomassin ma wpływy w literackim świecie? — zapytała na wstępie zniżonym nieco głosem.

— Krytyk tak hałaśliwy powinienby go posiadać do pewnego stopnia. Zaniedbuje on jednak trochę literaturę dla polityki, sprawiając jeszcze więcej hałasu na tem polu.

— Czy on chętnie przychodzi drugim z pomocą?

— Wątpię o tem, gdyż on sam dla siebie ma zbyt wiele do roboty. Jednakże musiałby być jeszcze więcej... Thomassinem, niż jest, gdyby był zdolnym odmówić jakiemukolwiek żądaniu pani. On ma osobliwszy system apostołowania, jednając sobie wyznawców, głównie między kobietami.

— Choćbyś pan miał się dziwić temu, przyznam się, że chciałabym z nim mówić. Bądź pan spokojnym, nie będziemy rozmawiać o socyalizmie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zaczęto paktować. Minister handlu Brefeld od którego decyzyi zależy to w pierwszej linii, podjął się pośrednictwa między rolnictwem a giełdziarzami. Układy spełzły na niczem. Wówczas związek rolniczy wypracował memoryał, w którym wyjaśnił swoje stanowisko, i zażądał wprost zaprzestania wszelkich układów z giełdziarzami i zalecił użycie środków najsurowszych w celu usunięcia szkodliwego dla całego rolnictwa, kupieckiego bezprawia.

Rada okazała się jednak głosem wołającego na puszczy, gdyż minister nie ma odwagi zadzierać się z milionowymi potentatami, cieszącymi się często łaską dworu, ze względu na swe datki filantropijne. Nie jest to tajemnicą, iż sekretarz cesarzowej, hr. Mirbach, jak to sam wyznał w roku zeszłym przed sądem, dosyć często składał wizyty mocarzom giełdy, aby apelować do ich worka. To też agraryusze zarzucali Brefeldowi nieopatrzną delikatność, dowodząc, iż słusznie niedawno uskarżał się cesarz Wilhelm w prywatnej rozmowie, iż brak mu „spiżowych" mężów w rządzie. Taki spiżowy mąż znalazł się w osobie prezesa policyi berlińskiej, który pewnego poranku zabronił dalszych pogawędek w *Feenpalaście*. W rozporządzeniu niedwuznacznie podkreślono, że w razie nieposłuszeństwa policya nie cofnie się przed gwałtem. Nowo ułożona giełda bez ceregieli zawiesiła swe posiedzenia. W izbie deputowanych znalazło się kilku trybunów narodowych, którzy wyrazili oburzenie, iż rząd traktuje „spokojnych kupców" tak, jak gdyby to byli apostołowie przewrotu w bluzie robotniczej. Minister Brefeld oświadczył gorące ubolewanie z tego powodu; zapewnił, iż pogróżki pozostaną tylko na papierze i że giełda mogłaby dalej sprawiać swój proceder w razie, gdyby zaapelowała do wyższej instancyi, t. zw. sądu administracyjnego. Naczelny prezes prowincyi Brandenburskiej zwołał konferencyę, na którą zaprosił przedstawicieli obu stron wojujących, dla porozumienia się ostatecznego. Przedstawiciele giełdy wyciągnęli pierwsi dłoń do zgody, zastrzegli się jednak, że jakkolwiek chętnie będą przyjmowali do zarządu przedstawicieli rolnictwa, o ile obiorą ich członkowie samej korporacyi, to nie mogą pozwolić, aby izba rolnicza narzucała giełdzie swoich kandydatów. Ugoda więc znowu prysnęła, a giełdziarze prowadzą tymczasem handel drogą prywatną.

I nie wiedzie się Bismarkowcom. Giełda prywatna ustała, ale też nie ma obecnie w Niemczech żadnych cen zbożowych. Nowy zamęt i nowa groźba ruiny dla rolników. Mniejsi kupcy prowincyonalni, pozbawieni regulatora cen, którym była notowania berlińskie, albo płacą ceny możliwie najniższe, albo zupełnie wstrzymują się od kupowania. Chociaż więc tracą przez ten zastój, to jako bogatsi i opatrzeni w kapitały, łatwiej mogą przetrzymać tę krytyczną chwilę, niż rolnicy. Ci, mając towar, muszą go sprzedawać, a nie mając żadnej pod względem cen dyrektywy, przyjmować muszą to, co im dają drobni kupcy, lub czekać z towarem na niepewny koniec całej tej awantury. Zaś wprost ruiną grozi ta cała batalia handlowo-rolna drobnemu rolnictwu, stanowiącemu 40% ludności niemieckiej. Nic też dziwnego, że ludność niemiecka coraz bardziej niechętną staje się rządowi, który bezradnym się okazuje w każdej kwestyi kategoryczniejszej natury. Podobno znowu nastąpić mają układy, które przy obecnem usposobieniu giełdziarzy, czujących się panami sytuacyi, nie doprowadzą pewnie do niczego. Nie ufając też w rezultat tych wszelkich rozmów, powzięli rolnicy niemieccy myśl organizacyi handlu zbożem na podstawie spółek rolniczych.

Jakby korzystając z tego, że ludzie z Berlina pouciekali na lato, panuje tu ruch ogromny w dziedzinie rozszerzenia komunikacyi. W trzech miejscach rozpoczęto prace około napowietrznej kolei elektrycznej, mającej przerznąć miasto od wschodu na zachód. Kilka linij podziemnej kolei elektrycznej zamierza zbudować inżynier Immenkenberg. Towarzystwo wielkiej kolei konnej wkrótce zamierza na dwóch głównych liniach (Gesundbrunnen-Kreuzberg i Aleksanderplatz-Schöneberg) zaprowadzić lokomocyę elektryczną, po części systemem napowietrznym, po części z akumulatorami.

Petycya do p. Podbielskiego, ażeby stacye telefonów dawały znać abonentom za pomocą osobnego sygnału o przerwaniu komunikacyi wobec zbliżającej się burzy i o podjęciu jej na nowo, otrzymała odpowiedź odmowną. Za to uznania godną rzeczą jest, iż zarząd poczt i telegrafów wysyła na swój koszt w obecnej porze do wód te telefonistki, które przy pełnieniu służby poniosły uszkodzenia lub przeszły lekkie porażenia elektryczne; wystawione one nieraz są na to, gdyż abonenci częstokroć nie czekają wcale do połączenia i kręcą korbą, zanim telefonistka zdołała usunąć się z kontaktu.

Z zestawień rachunkowych miasta Berlina, które wydano tutaj, wynika nadwyżka 8,000.000 marek za rok 1896/7. I tak zwiększył się w tym roku zbyt browarów berlińskich, a zarazem podniósł się import piwa zamiejscowego. Za to zmalał eksport piwa berlińskiego.

Import ostryg do Berlina w r. 1896-tym powiększył się o 1090 metr. centnarów i wynosił ogółem 9.168 metr. centnarów. Najwięcej ostryg angielskich, których cena za 100 sztuk wynosiła w r. 1896 22 m. (powodem 25 m. w r. 1895), najwięcej jednak sprowadzano z Holandyi. W ostatnim czasie holenderskie okazały się znacznie gorsze, co przypisują rozszerzeniu hodowli, podczas gdy obszar ław pozostał ten sam. Holsztyńskie za to zyskują na dobroci.

Liczba osób, skazanych przez sądy berlińskie, tak cywilne, jak karne, w r. 1896-tym zmniejszyła się o 2,6% wobec cyfry roku poprzedniego. W ostatnich latach ciągle się zmniejsza. Ogółem skazano w r. 1896-tym osób 482.000.

Lekki postrach rozsiała tu wśród ludności wiadomość, iż jakiś uczony badacz znalazł w 14-tu próbkach masła, które rozbierał, bakterye gruźlicy. Pisma jednak słusznie zapewniają, iż to „strachy na Lachy", gdyż sok żołądka zapewne potrafi sobie dać radę z temi zarazkami, bo bardzo rzadką bywa gruźlica kiszek. Zresztą warto przypomnieć doświadczenia Pettenkofera i innych, którzy różne bakterye połykali i byli mimo to zdrowi. Poszukiwania za bakcylami gruźlicy w maśle czynią tu w laboratoryach urzędu sanitarnego, i znaleziono je w 30 próbkach na 100.

Skargi tu coraz częstsze na łobuzeryę berlińską, która niszczy i psuje przyrządy do ratowania tonących, pozmieszczane przy mostach. Przerzynają np. liny, na których zawieszone są gumowe pilki ratunkowe i pierścienie, psują wiosła łodzi ratunkowych, a co gorsza, kradną je. Zginęło już 17 wioseł.

Ciekawy proces rozegrał się tu w tych dniach przed jednym z sądów ławniczych. Oskarżony był pewien mistrz malarski o obrazę telefonistki, którą, żądając połączenia, nazywał „aniołkiem", „gagatkiem" itp. Odkrywszy osobistość telefonującego, pociągnięto go do odpowiedzialności. Kosztowało go ta sprawa sto marek.

Dnia 12 września rozpocznie się tu międzynarodowy kongres szachowy. Spodziewają się przybycia wielu mistrzów, między innymi Laskera. Najwyższa nagroda w turnieju mistrzów 2 000 m., w głównym 400 m., ale spodziewają się jeszcze powiększenia nagród. Kongres urządza „Berliner Schachgesellschaft".

U Juliana Klaczki.

Młody literat warszawski, p. Ferdynand Hösick, odwiedził temi dniami Klaczkę w Krakowie i z rozmowy swojej z tym wielkim pisarzem zdaje sprawę w petersburskim *Kraju*. Relacya ta jest tak szczerą, że nawet wypada niekorzystnie dla pana Hösicka. Za to — co najważniejsza — uwypukla się świetnie postać Klaczki. Przytoczymy parę ustępów z tej zajmującej rozmowy. Pan Hösick pisze:

Klaczko ożywił się ogromnie, rozgadał się. Po chwili wstał i zaczął mówić, chodząc po pokoju, a mówił z młodzieńczym zapałem, żywo ilustrując to, o czem mówił, gestami i szybko zmienianym wyrazem twarzy; ja zaś, nie ruszając się z otomany, słuchałem pilnie, co mówił, podziwiałem jego niepospolity dar wymowy, w której było coś porywającego chwilami, a przytem śledziłem ożywienie, jakie się malowało na jego twarzy, zwłaszcza w oczach, które w tej chwili płonęły dziwnym ogniem, zadziwiającym u 72-letniego człowieka.

Trafiłem na dobry dzień: bo Klaczko — jak wiem od innych — nie zawsze bywa tak ożywiony, a bardzo często nie chce mu się mówić.

Zgadało się o Mickiewiczu, który — mojem zdaniem — źle zrobił, że w swych wykładach w „Collège de France", wspominając i wychwalając tylu innych współczesnych poetów, tylko o jednym przemilczał — o Słowackim.

— Nie wierzę — rzekł Klaczko — żeby to uczynił z premedytacyą. Panie, Mickiewicz to przedewszystkiem dobroduszny niezmiernie, bez cienia afektacyi. Jeśli nie mówił o Słowackim, to nie żeby go chciał tem skrzywdzić, ale dlatego po prostu, że nie rozumiał jego poezyi. Pamiętam, jak raz przy nim zgadało się o Słowackim, w którego obronie stawało nas kilku. Przyznawał się otwarcie, że chciałby w nim widzieć więcej, niż widzi, ale cóż, kiedy go nie rozumie. „Co wy w tem widzicie? Jak Boga kocham, czytam, czytam, i nic nie rozumiem!"

— Otóż tego właśnie zrozumieć niepodobna, jakim sposobem człowiek, tak niepospolitej inteligencyi, jak Mickiewicz, a przytem sam poeta, nie mógł się poznać na pięknościach poezyi Słowackiego.

— Jest to jeden dowód więcej, stwierdzający jego nadzwyczajną dobroduszność. A przytem, jak wielu wielkich poetów, niekoniecznie sam znał się na poezyi. Mówili mu, że Słowacki nie jest wiele wart, jako poeta, że jego poezye są niezrozumiałe, a on wierzył. Pamiętam, jak mu raz dano bardzo liche sonety do przeczytania [illegible] jakieś wiersze Grzymały, czy Kaysiewicza. Przeczytał i podobały mu się, nawet mu się bardzo podobały. A tymczasem były to rzeczy liche. Nawet, gdy zwrócono jego uwagę, że przecież w tych wierszach nie ma poezyi, jeszcze wtedy nie był przekonany: ciągle mu się zdawało, że jednak te wiersze nie są takie złe. Za to o swoich poezyach nie zawsze trzymał wiele. O „Konradzie Wallenrodzie" np. mówił: „To był pamflet"... Wogóle nie lubił tego poematu, a jeśli nie lubił go, to z pewnością szczerze, bo w Mickiewiczu nie było źdźbła nieszczerości. Co myślał, to mówił. Pamiętam, raz byliśmy na śniadaniu u Seweryna Gałęzowskiego, doktora, który miał znakomitego kucharza, Litwina, a ten kucharz znakomicie przyrządzał różne potrawy litewskie. Było nas kilku, między innymi był i Bohdan Zaleski. Na jedno danie podano pierogi, które się okazały wyborne, ale choć smakowały wszystkim, nikomu nie smakowały tak, jak Mickiewiczowi. Nie mógł się ich dosyć nachwalić, a wychwalając je, tak się unosił nad niemi, nad ich smakiem, ich delikatnością, etc. etc., że aż w końcu Bohdan Zaleski zwrócił jego uwagę: „Ależ, Adamie, na litość Boską, tak mówisz o tych pierogach, że ktoby cię słyszał tak rozwodzącego się o tak prozaicznej rzeczy, jak jedzenie wogóle, a pierogi w szczególności, nie przypuściłby nawet, że jesteś poetą Mickiewiczem".—„Mój drogi, — odrzekł mu na to Mickiewicz — ja jestem zdania, że nie należy udawać poezyi kiedy jej źródło już wyschło w duszy". W tej odpowiedzi jest cały Mickiewicz. To był człek prosty niezmiernie, poczciwy, nigdy nie pozujący (tymczasem Słowacki zawsze pozował), powiem nawet, naiwny... Naiwny jak Homer! O, bo Homera było w nim więcej, niż ludzie przypuszczają! I to jest największą pięknością „Pana Tadeusza", to, co w nim jest homerycznego, a nie naśladowanego z Homera. Nawet pisałem o tem... Napisałem rodzaj studyum na ten temat.

— Jakto? i nie ogłosił pan tego studyum?

— Nie, i nie ogłoszę go. Po mojej śmierci może je kto ogłosi, jako moje *oeuvre posthume*. W każdym razie, panie, Mickiewicz to poeta, którego wszystkich piękności, jakie się znajdują w jego utworach, jeszcze nie podniesiono dotąd. Jeszcze nie zdobyliśmy się na krytyka, coby się na tych nadzwyczajnych pięknościach poznał, a następnie wskazać je z odpowiednim talentem potrafił. Znalazł się jeden tylko, co o Mickiewiczu napisał rzecz wspaniałą, godną Mickiewicza, a przytem niepospolicie oryginalną, świetną, jedną z najznakomitszych prac krytycznych, jakiemi się możemy pochlubić. Ale i to nie był krytyk, tylko malarz. Witkiewicza „Mickiewicz jako kolorysta", to panie rzecz europejska, a nawet w literaturze europejskiej trudno wskazać na równie świetne i głębokie studyum krytyczne! O, to rzecz niepospolita, wysoko wybiegająca po nad zwykły poziom!... Jest to jedyna, mojem zdaniem, piękna praca o Mickiewiczu, który jeszcze czeka na swego...

— Na swego Klaczkę.

Poczem zaczęliśmy mówić o naszej literaturze mickiewiczowskiej, a słuchając, co o niej mówił i sądził Klaczko, byłem po prostu uderzony jego kolosalnem oczytaniem: nie przypuszczałem, że on, który tak poszedł w innym kierunku, w tym stopniu jest *au courant* wszystkiego, co się u nas pisze i drukuje. Co ten człowiek musi czytać!...

Z kolei, wyczerpawszy temat Mickiewicza, powróciliśmy do Słowackiego, którego Klaczko — jakem się przekonał z tej rozmowy — nie jest wielkim zwolennikiem, choć uznaje jego barwny język, kolorytem przypominający pędzel Weroneza, a korzy się przed jego niepospolitym artyzmem. „Nie ulega wątpliwości, że to był największy artysta z naszych poetów, ale muszę się przyznać, że go nie zawsze rozumiem" — rzekł Klaczko.

— Dziwna rzecz, że ja wszystko rozumiem w Słowackim, i tylko nie mogę zrozumieć tych, co powiadają, że go nie rozumieją.

— Zazdroszczę panu, bo ja tego o sobie powiedzieć nie mogę

— W każdym razie wiem o tem, że była epoka, gdyś pan uwielbiał Słowackiego.

— Kiedyż to było?

— Jest w „Listach Andrzeja Edwarda Koźmiana", niedawno wydanych we Lwowie, jeden list, pisany z Paryża d. 2 listopada 1858 r. do brata stryjecznego Stanisława, prawie cały o panu, a między innemi jest tam powiedziane tak, o ile sobie przypominam: „On teraz, oprócz Mickiewicza, kocha Słowackiego, którego zowie największym artystą, innych nienawidzi".

— Nic nie wiedziałem o tym liście. Bądź co bądź, nie przeczę, że tak być mogło, bo niech pan nie myśli, żebym kiedykolwiek starał się obniżać wartość Słowackiego, jako poety. Przeciwnie, byłem jednym z pierwszych, co o niego staczali walki, co mu starali się wywalczyć zaszczytne stanowisko na Parnasie. Pamiętam doskonale, jaka była opinia o Słowackim, kiedym po raz pierwszy przyjechał do Paryża. Lekceważono go sobie, wcale nie uważano za nadzwyczajnego poetę...

— Prawdopodobnie dlatego, że tę opinię wyrabiali o nim przyjaciele i stronnicy Mickiewicza: Januszkiewicz, Bohdan Zaleski i wielu innych, którym Słowacki jeszcze po śmierci nie dawał spokoju, jak tego dowodzi np. Januszkiewicza list o Słowackim, pisany do Małeckiego, list, w którym, oprócz niechęci, nie ma prawie słowa prawdy, lub złośliwy wiersz B. Zaleskiego, który w swoich „Pyłkach" powiada o Słowackim, że „jest dziennikarzem w wierszach, jak Kraszewski w prozie".

— W każdym razie ja należałem do tych, co stawali w jego obronie, tylko go nie podnosiłem tak wysoko, jak to wy, młodzi, czynicie teraz. Zawsze go stawiałem zaraz po Mickiewiczu i Krasińskim, w tym porządku: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki.

— Otóż pod tym względem pozwolę sobie być innego zdania, sądzę bowiem, że się powinno mówić: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. Przyzna pan chyba, że Słowacki był większym poetą, niż Krasiński.

— Panie, Krasiński jest autorem „Nieboskiej komedyi", jednej z najgenialniejszych rzeczy, jakie są w literaturze świata. I napisał ją, mając dwadzieścia lat! Na to trzeba być geniuszem! Panie, dwudziestoletni chłopiec, który daje taki utwór, to jest wieszcz. Resztę daruję panu, nawet „Irydiona". Słowacki nigdy nie napisał nic podobnego, jak „Nieboska komedya". „Pan Tadeusz" i „Nieboska komedya" to są szczyty naszej poezyi!

I w tej chwili zaczął mówić o Fredrze, którego ceni niezmiernie wysoko, którego komedye stawia najbliżej „Pana Tadeusza". My jeszcze nie cenimy tak Fredry, jak na to zasługuje. Nie domyślamy się nawet, jaką wielkość posiadamy w twórcy „Zemsty za mur graniczny!

— To, panie, jeden z najbardziej narodowych naszych pisarzy. Pamiętam jednego Anglika, który się bardzo nami interesował, a zawsze mi powtarzał, że mamy dwóch poetów, których nam wszyscy pozazdrościć mogą: Mickiewicza i Fredrę. Bo jak pierwszy jest najbliższym Homera, tak drugi jest najbliższym Molière'a, którego nawet w niektórych razach przewyższa, a nigdy nie traci na porównaniu z nim. Jestem przekonany, że przyjdzie taka epoka, w której przyjdzie kolej na kult Fredry. A przytem Fredro nigdy się nie zestarzeje, nie wyjdzie z mody, bo jest nawskróś polski i ludzki. Może przyjść taka epoka, że ludzie zapomną o Słowackim, o Krasińskim, że nie będą czytali „Wallenroda" lub „Dziadów", ale „Pana Tadeusza" i komedye Fredry — najcelniejsze oczywiście — będą czytali zawsze.

Ośmieliłem się wtrącić, że i o Słowackim, jako autorze „Ojca zadżumionych", ludzie nie zapomną nigdy, dopóki stanie języka polskiego, bo „Ojciec zadżumionych", jak szekspirowskie tragedye, oprze się wszelkim kierunkom i prądom literackim, nieśmiertelny tą wiecznie jedną prawdą ludzkiego cierpienia, które za lat tysiąc będzie takie same, jak za czasów Homera Tymczasem taka „Nieboska komedya", pomimo swej całej genialności, już dzisiaj zaczyna trącić myszką, już dzisiaj nie trafia do wszystkich umysłów, bo jest zbyt romantyczną, za silne piętno wycisnął na niej pewien literacki i umysłowy kierunek, a mianowicie romantyzm z przed lat sześćdziesięciu. Hrabia Henryk to przedewszystkiem typ i wytwór pewnej epoki, epoki romantycznej. Tylko jako taki, jest zrozumiały i umotywowany psychologicznie. To sprawia, że już nie wszystkim trafia do przekonania. Cały dramat, który się w jego duszy rozgrywa, jest tylko zrozumiały na tle pewnego, ściśle oznaczonego okresu czasu, przeciwnie „Ojciec zadżumionych", którego boleść ojca, tracącego dzieci, nigdy nie zestarzeje się, ani zblaknie, jako temat, jako sytuacya ogólno-ludzka.

— W każdym razie — zauważył Klaczko — Krasiński był nieporównanie głębszym umysłem, niż Słowacki.

— Zato Słowacki był umysłem poetyczniejszym, nie mówiąc już o tem, że miał o wiele bujniejszą wyobraźnię. Mojem zdaniem nawet, miał wyobraźnię nietylko bujniejszą, ale i poetyczniejszą od Mickiewiczowskiej. Bo utrzymuję stanowczo, że Słowacki przewyższa poetycznością nietylko Krasińskiego, ale i Mickiewicza. Mickiewicz jest genialniejszy, ale Słowacki jest poetyczniejszy. Mickiewicz jest dość prozaicznym w swoich poezyach, kiedy Słowacki wszystko owiewa jakąś dziwną poezyą. U niego nawet Sybir jest poetyczny...

— Ale zgodzi się pan na to, że politykiem nie był żadnym. Nie zapomnę jego „świętej anarchii", w której widział zbawienie ludzkości. Słyszałem z jego własnych ust, jak się unosił nad tą „świętą anarchią".

Tu opowiedział w jakich okolicznościach zetknął się raz ze Słowackim.

— Było to w roku 1848, w Poznaniu, w czasie owej pamiętnej t. zw. rewolucyi poznańskiej. W chwili, gdy ta niefortunna rewolucya wybuchła, byłem w Heidelbergu, gdzie między innemi pisywałem także artykuły do *Deutsche Zeitung* Gervinusa Otóż zdarzyło się tak, pamiętam, że siedziałem w redakcyi, gdy nagle przychodzi depesza, depesza z Poznania. Notabene depesze były wtedy wielką rzadkością. Wrażenie! Cóż dopiero, gdyśmy przeczytali wiadomość, którą nam przynosiła ta depesza. Rewolucya w Poznańskiem! Donoszono nam, że się formuje komitet rewolucyjny, że się zakładają obozy w polach, że się formują oddziały kosynierów... Czasy były takie, że, pamiętam, nawet nie poszedłem do domu na obiad, tylko pożegnawszy się z Gervinusem, który mię powstrzymywał i hamował, wprost z redakcyi *Deutsche Zeitung* pojechałem na kolej. Tak, jak stałem! Pamiętam, że mi Hahn, jeden z kolegów redakcyjnych, a późniejszy minister badeński, przesłał później z Heidelbergu moje rzeczy do Poznania. Pojechałem wprost do Berlina. Tam przyłączyłem się do t. zw. legii akademickiej, z którą po kilku dniach udałem się do Poznania... Tymczasem Prusacy, którzy się po swojej rewolucyi w Berlinie bardzo szybko zoryentowali w sytuacyi, zażądali zwinięcia obozów, a legiom akademickim przyrzekli organizacyę narodową. Do Poznania przyjechał ów poczciwy jenerał Willisen, posłany do układania się z Poznańczykami, do pertraktowania z wybitniejszymi obywatelami Księstwa.

Pamiętam że zaraz pierwszego dnia zostałem wprowadzony na posiedzenie komitetu rewolucyjnego. Przedstawiony jego członkom — ponieważ byłem znany jako współpracownik *Deutsche Zeitung* — zaraz zostałem zaszczycony jednogłośną uchwałą, żebym redagował po niemiecku pisma od komitetu do rządu Rzecz charakterystyczna, że ci Poznańczycy, którzy się tak skarżyli na germanizacyę, musieli wołać mnie, Litwina, żebym im po niemiecku pisał! A i to było niemniej charakterystyczne, że na takiem posiedzeniu, na którem zasiadali sami ludzie poważni wiekiem, przeważnie oficerowie z roku 1831, dopuszczono takiego jak ja wówczas młodzika, żem głos zabierał na równi z nimi. A przecież w tym komitecie zasiadał sam kwiat społeczeństwa! Był biskup, był nawet sam Mierosławski, był Potworowski oficer z r. 1831, był Libelt, był Stefański. Ten ostatni był księgarzem w Poznaniu. Świetny typ! Świętobliwy demagog; człowiek, który pobożność cudownie umiał łączyć z demagogią: wydawał „Złote ołtarzyki", które mu się doskonale opłacały, i warcholił. Ale zaczęło się posiedzenie Libelt, jako prezydujący, odczytał odezwę do narodu... odezwę, napisaną stylem napuszonym i patetycznym, a której treścią było, pamiętam, że idziemy na śmierć, a idziemy bez nadziei zwycięstwa, byle tylko krew przelać za ojczyznę. Gdy skończył czytanie, Potworowski, wzruszony (albowiem był dziwnie skłonny do łez) zaczął wołać, zanosząc się od płaczu: „Na miłość Pana Boga! Na co tych biednych chłopów, którzy nie mają nic więcej prócz kós, wydawać na rzeź niechybną? Obiecywaliśmy im, że będzie Polska; zwodziliśmy ich... a teraz przyjdzie jeden szrapnel, wpadnie między bezbronnych, a co się będzie działo wówczas, o tem najlepiej wiem ja, co bywałem w bitwach."

Tego samego zdania, co on, był i biskup, który się także rozpłakał przy tej sposobności, i kilku innych. Na to Libelt: „To jest nasz testament. Zginąć musimy, albowiem tego wymaga honor oręża polskiego." A Potworowski na to: „Jeżeli mamy zginąć, my, to lepiej urządźmy rewolucyę w Poznaniu, barykady! Padnie nas kilkunastu dla honoru, ale po co gubić tych chłopów, co stoją w obozie?." Wtem otworzyły się drzwi i jeden z członków komitetu (już nie pamiętam który) wprowadził jakiegoś smagłego bruneta, o delikatnych rysach, o wyschłej, śniadej twarzy, z suchotniczemi rumieńcami na zapadłych policzkach, i zamiast przedstawić go zgromadzonym, zaczął po kolei przedstawiać ich jemu. W końcu dopiero, gdy już zdążył przedstawić nas wszystkich, dodał głośno, wskazując nań ręką: „Słowacki, poeta."

Na nas jednak, przypominam sobie, nie zrobiło to nadzwyczajnego wrażenia, bo *primo* — zbyt byliśmy zaabsorbowani dyskusyą, a *secundo* — imię Słowackiego, choć znane, nie było tak głośne w owych czasach, jak Mickiewicza, lub choćby Krasińskiego. Wszelako wytoczono przed nowoprzybyłych całą sprawę od początku. Libelt odczytał powtórnie całą odezwę, Stefański, jak poprzednio, gardłował za nim, biskup i Potworowski znów mu oponowali z płaczem... Na to powstaje Słowacki (jakbym go widział w tej chwili!) i stojąc z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, zaczął mówić podniesionym głosem: „Cóż wy myślicie? Wam się zdaje, że dzisiaj potrzeba jeszcze, jak dawniej, armat, pułków, oficerów? A ja wam powiadam, że dzisiaj przyszła epoka świętej anarchii..." Chciał mówić dalej, ale mu nagle przerwał Stefański, który, posłyszawszy połączenie tych dwóch wyrazów „świętość i anarchia", rzucił mu się w zachwycie do nóg i wyciągając ręce, krzyczał: „Mistrzu! wielkie słowo rzekłeś..." Tą komedyą przerwał wątek Słowackiemu, który usiadłszy, już nie mówił więcej... Skończyło się na tem, że odezwy nie ogłoszono. W takich okolicznościach poznałem Słowackiego. Był to jedyny raz, kiedym go widział. Święta anarchia! Czegoś podobnego nie powiedziałby nigdy Krasiński.

Echa z wód.

Nałęczów w sierpniu.

Najznakomitszym zakładem hydropatycznym w Królestwie polskiem jest Nałęczów. Może on być uważany za nasz polski Kaltenleutgeben, który — jak wiadomo — znajduje się pod Wiedniem i jest prowadzony wzorowo przez dra Winternitza, twórcę nowoczesnej racyonalnej hydropatyi. Nic też dziwnego, że do Nałęczowa spieszy, kto może. Zakład obecnie jest przepełniony, tylko w willach prywatnych można jeszcze znaleść wolne pomieszkanie.

Park zakładowy pięknie wygląda, ale też niemało zrobiono w bieżącym roku dla jego ozdoby: wyszlamowano staw, obfite źródło żelaziste upiększono murem, wybudowano mostek na grobli itp. Pomyślano także o ulepszeniu dróg i chodników pomiędzy willami, które tu rosną, jak grzyby po deszczu.

Życie towarzyskie jest tu dość silnie rozwinięte. W lipcu były dwa koncerty i dwa przedstawienia amatorskie. Najpierw koncertowała śpiewaczka Henisz-Maziani (p. Filpowicz), przy współudziale barytona Stanisława Lewickiego, jako amatora z Lublina i fortepianisty Osińskiego z Lublina. Drugi koncert był pianistki Hochedlinger (Lechowicz) i barytona opery warszawskiej Szaniawskiego. Koncerty te nie miały dobrego powodzenia; nie sprzyjały im zbyt wygórowane ceny miejsc, a także zła pogoda. Inaczej się działo z amatorskiemi przedstawieniami, z których pierwsze było na zebranie funduszu na straż pożarną (netto dało dochodu 280 rub.), drugie na kupno nowych instrumentów dla orkiestry zakładowej pod dyrekcyą p. Rohaczka (brutto zebrano 350 rub.) Reżyserem obu przedstawień był p. K. Chmielowski, syn dyrektora zakładu. Pierwszym razem grano „Iskierkę" Paillerona; trzeci akt „Ślubów panieńskich" Fredry i „List rekomendowany". Drugim razem odegrano „Pierwszy bal" Przybylskiego i „Błażka opętanego" Anczyca, a na zakończenie dano żywy obraz z krakowiaków i górali, oświetlonych bengalskim ogniem.

Już parę razy wydawano przewodniki Nałęczowa. W r. b. wyszedł z druku „Przewodnik informacyjny dla leczących się i lekarzy". (Warszawa, str. 88, druk Kowalewskiego). Książeczka wydana na pięknym papierze i ozdobiona 5 ślicznemi fotogramami widoków zakładu, a także dwiema mapami, z których jedna zaznajamia czytelnika z planem zakładu, otaczających go wil i okolic spacerowych, a druga z głównemi punktami wycieczek w cudne i pamiątkowe okolice Nałęczowa.

* * *

Z C o p o t pod Gdańskiem nam piszą:

Nawoływania prasy do odwdzięczenia się hakatystom za prześladowanie Polaków pod zaborem pruskim odniosły tutaj, w siedzibie filii spółki hakatystowskiej swój skutek. Gdy innymi laty, bywało tu w pełni sezonu 120 — 1500 Polaków, to w roku bieżącym jest nas tylko około 500, a wielu z Królewiaków, widząc bezustanne szczucia, wyjechało o wiele wcześniej niż zamierzali.

Wczoraj (7-go) liczne grono Polaków urządziło parowcem wycieczkę do Pucka, t. j. właściwej dzisiaj stolicy Kaszub, a siedziby głównej rybaków. Miasteczko niewielkie, ale przyjemne, o wyglądzie poważnym; ludność rdzennie polska. Rybacy i przewoźnicy obsypują nas bursztynem, którego tu u wybrzeża wyławiają dużo, a za ten podarek prosili — oczywiście narzeczem kaszubskiem, w które oddawna wplątała się angielszczyzna i niemieczczyzna — ażebyśmy przejechali się ich łódkami i zakupili nieco ryb, — naturalnie bajecznie tanich, chociaż pięknych i żywych.

Na ubiegłą niedzielę Polacy cieszyli się bardzo, gdyż ks. prałat Gnatowski, który tu przybył na lato, przyrzekł wygłosić kazanie po polsku. W kapliczce tedy, wystawionej przez Polaków, zebrała się dnia 1 bm. cała kolonia polska; kapliczka mała, więc dziewięć dziesiątych stało na dworze. Po nabożeństwie jednak ks. prałat ogłosił od ołtarza, iż z powodu zakazu ks. biskupa Rednera kazania mieć nie będzie. Po zasięgnięciu dokładniejszych informacyj, dowiedzieliśmy się, iż istotnie zabroniono obcym księżom głosić kazania, w obawie, iż z ambony zajmować się będą polityką. Znowu więc sprawka naczelnego prezesa Prus Zachodnich, p. Gosslera, „cichego" członka Spółki hakatystowskiej.

Spodziewamy się tu w tych dniach przyjazdu cesarza Wilhelma, który ma wstąpić do Copot, powracając z Petersburga.

Repertuar rozrywek dla gości kąpielowych jest bardzo obfity Do końca drugiego sezonu, tj. do 10 września zapowiedzianych jest sześć reunionów, wycieczka na łodziach do Adlershorstu, corso na łodziach, zabawa kąpielowa z iluminacyą, wycieczka lasem do Wielkiej gwiazdy (grosser Stern), kilka wycieczek na morze, do nowego przekopu Wisły, na półwysep Hel, zwiedzanie Oliwy i Wejherowa itp. Ostatnia lista gości wykazuje 7080 osób.

Z prasy rosyjskiej.

Moskowskie Wiedomosti dalej na nas szczują wszelkiemi sposobami. Według tego dziennika już nietylko spolszczyliśmy Wiazmę, ale zagrażamy samej Moskwie. Oto bowiem jaki artykuł zamieścił temi dniami organ moskiewskiego uniwersytetu:

„W *Moskiewskim Listku* pojawił się anons tej treści: „Poszukuje się wykształconych osób do kantoru za bardzo sowitem wynagrodzeniem, bez kaucyi. Interesowane osoby mają się zgłosić w folwarku mielnika Czułkowa pod Moskwą na Izmaiłowskiej szosie". Owoż szukając kawałka powszedniego chleba udałem się do tego folwarku, a razem ze mną poszło jeszcze 200 innych aspirantów. Skoro przybyliśmy do folwarku, leżącego dość daleko od innych ludzkich mieszkań, zastaliśmy tam już tłum około 60 ludzi, którzy obstąpili stolik ustawiony pod drzewami, za stołem zaś ujrzeliśmy siedzącego jakiegoś dżentelmena z ryżymi wąsami i brodą, z dobrych rozmiarów nosem, mówiącego polskim akcentem. Człowiek ten przyjmował ludzi do niewiadomo jakiej służby w tajemniczy sposób. Wielu, pomiędzy nimi i ja, pytaliśmy go, w czyjem imieniu najmuje ludzi, na co on odpowiedział, że tego nie może jeszcze teraz wyjawić, lecz że wnet odbędzie się zebranie akcyonaryuszy, które ułoży statut i budżet dla swoich funkcyonaryuszy, a wówczas będą wszyscy zadowoleni. Zgłaszający się musieli mu dawać takie wyjaśnienia: czy umieją prowadzić księgi, jakie mieli dotychczas zajęcie, jaką płacę, jakiego są wyznania i czy mają jakie świadectwa służbowe. Na stole leżał jakiś zeszyt w postaci księgi, z którego tytułu można było wyrozumieć, że albo powstaje, albo już istnieje jakieś akcyjne towarzystwo dla jakiegoś kolejowego przedsiębiorstwa (czyżby dla Moskiewsko-Rygskiej drogi żelaznej, którą ma podobno budować rząd?), które potrzebuje funkcyonaryuszy. Skoro każdy ze zgłaszających się wypełnił stosowne formularze, agent ów oświadczył, że aspiranci wyznania prawosławnego mogą sobie iść, a katolicy i luteranie zostają. Pozostałym zaś obwieścił, że dnia 28 maja lub 1 czerwca mają się stawić na tem samem miejscu, a wtedy każdy otrzyma odpowiedź, czy go przyjęto, czy nie. A teraz powstaje pytanie: dlaczego tylko katolicy i luteranie pozostali w folwarku? Jeżeli prawdziwem jest moje przypuszczenie, że to ma być towarzystwo dla budowy i eksploatacyi kolei moskiewsko-rygskiej, to w takim razie prawdopodobnym będzie i drugi domysł: mianowicie, że najwybitniejsze miejsca w tem towarzystwie dostaną się Polakom, a my Rosyanie będziemy zbierali tylko okruchy spadające ze stołu. Nieprawdaż czytelnicy, jak pięknie umieją Polacy pamiętać o swoich interesach, podczas gdy my Rosyanie gryziemy się wzajemnie i sami sobie podstawiamy nogę?"

Z izby sądowej.

Sambor 9 sierpnia.

(*Antipolska gminą.*)

Rozpoczął się tu proces przeciwko Stefanowi Kajdanowi, Hnatowi Kajdanowi i Jurkowi Mykitynowi, którzy wobec polskich mieszkańców Łukawicy niżnej w powiecie stryjskim, w szczególności zaś Mikołajowi Kostowi, grozili w czasie kampanii wyborczej zabiciem, oraz

rozgłaszali, że Polacy są niegodziwi, więc potrzeba ich wszystkich wyrżnąć. Trwoga ogarnęła nawet samego dziedzica, bo gmina — przeważnie ruska — toczy wciąż swary z Polakami.

* * *

Przemyśl, 7 sierpnia.

(*Jaki wójt, taka gromada*).

Tutejszy zwyczajny trybunał osądzał skargę prokuratoryi państwa przeciw wójtowi z Sianoczan, Senkowowi Łuczyszynowi, Stefanowi Kuropijowi i trzem innym włościanom o ekscesy przy wyborach. Oskarżeni otoczyli komisarza wyborczego, żądali wydania listy wyborczej, a gdy komisarz tego uczynić nie chciał, grozili mu, że ani do wyborów nie dopuszczą, ani jemu odejść nie dozwolą. Kuropija skazał sąd na trzy miesiące, a Łuczyszyna na dwa tygodnie więzienia, resztę zaś uwolnił.

KRONIKA.

Lwów 11 sierpnia.

Prezydent ministrów hr. Kazimierz Badeni przejechał dziś rano przez Lwów do Buska, gdzie się mają odbyć uroczyste zaręczyny jego córki, urodzonej z Maryi ze Skrzyńskich, hrabianki Wandy Badenianki z hr. Adamem Krasińskim. Adam hr. Krasiński, ordynat opinogórski, syn śp. Władysława ordynata Krasińskiego i Róży z hr. Potockich, *primo voto* hr. Krasińskiej, *secundo* hr. Raczyńskiej jest wnukiem wieszcza Zygmunta Krasińskiego, ożenionego z hr. Elżbietą Branicką, a prawnukiem jenerała Wincentego Krasińskiego, ożenionego z ks. Radziwiłłówną. Ordynat Adam Krasiński doktoryzował się na Wydziale filozoficznym w Heidelbergu i napisał bardzo cenne, obszerne dzieło: „O stosunkach włościańskich ubiegłego stulecia w Polsce". Przez pierwsze dni pobytu w Busku zabawi także brat panny narzeczonej, hr. Stanisław Badeni; również do Buska pojechali dzisiejszym popołudniowym pociągiem do rezydencyi Badenich hr. Edwardowie Raczyńscy.

Ze sfer urzędowych i towarzyskich. Naczelny dyrektor poczt i telegrafów dla Galicyi, radzca dworu pan Seferowicz, wyjechał za 6-tygodniowym urlopem, a kierownictwo galic. Dyrekcyi poczt i telegrafów objął starszy radzca p. Emil Gaberle.

Józef Skupiewski, Warszawianin, dyrektor Agencyi telegraficznej rumuńskiej, będący tem w Rumunii, czem jest biuro korespondencyjne w Austryi, przejechał dzisiaj z Bukaresztu przez Lwów do Krakowa na zjazd rodziny, z którą nie widział się od lat 18, a która tam przybyła z Warszawy.

P. Skupiewski był dziennikarzem niegdyś w Krakowie, gdzie wydawał *Gazetę krakowską*, potem wstąpił do redakcyi *Indépendance Belge* w Brukseli, gdzie przebył lat kilka, a następnie na zaproszenie p. Jana Bratiano, słynnego męża stanu rumuńskiego, przeniósł się do Bukaresztu i objął naczelne kierownictwo dziennika półurzędowego *L'Etoile roumaine*, potem po upadku Bratiana, redagował dzienniki liberalne opozycyjne *La Liberté* i *La Patrie*, oraz dziennik rumuński *Gazeta Poporului*, w ciągu tego czasu zajmował się zebraniem dokumentów do stosunków Rumunii z Polską od XV do XVIII stulecia i praca ta jego, napisana w języku polskim i francuskim, wydana została przez Akademię rumuńską pod tytułem: „Actes et documents pour servir à l'histoire de la Roumanie". Wreszcie zajął się zebraniem dokumentów do historyi odrodzenia Rumunii od 1853 do 1866 r. i wydał je pod dyrekcyą p. Dymitra Sturdzy, teraźniejszego prezesa gabinetu, w siedmiu tomach p. t.: „Actes et documents pour servir à l'histoire de la Renaissance de la Roumanie". Nadto wydał obszerną pracę pod tytułem: „La Doctrine du panslavisme," w której rozebrał dzieło Danilewskiego „Rassija i Europa" i wykazał niebezpieczeństwa panslawizmu tak dla cywilizacyi europejskiej w ogóle, jak dla Rumunii w szczególności.

Położywszy tyle zasług dla Rumunii, otrzymał też p. Skupiewski od niej obywatelstwo, rzecz jak wiadomo w Rumunii nadzwyczaj trudno do otrzymania, a w końcu zamianowany został dyrektorem w ministeryum spraw zewnętrznych i naczelnikiem półurzędowej Agencyi telegraficznej, a więc powierzony mu został posterunek wymagający nieskazitelnej uczciwości (mianowicie ze względu na grę giełdową za pomocą sensacyjnych depesz), ogromnych zdolności politycznych, taktu, znajomości wszystkich spraw, stosunków wzajemnych między mocarstwami i dworami, wielkiej dyskrecyi etc.

Mianowania. Suplent Ignacy Suski mianowany nauczycielem szkoły ćwiczeń seminaryum nauczycielskiego w Tarnopolu. — Attaché konsularny w Kanei, dr. Kwiatkowski, otrzymał godność konsula.

Konkurs rozpisuje kapituła metropolitalna lwowska obrz. łać. na jedno miejsce fundacyi ś. p. dr. Antoniego Kaczkowskiego w małem Seminaryum. Wymagany jest wiek od 10—14 roku życia i z dobrym postępem ukończona szkoła t. zw. normalna, a najwyżej trzecia klasa gimnazyalna. Pierwszeństwo mają krewni fundatora. Termin do 4-go września.

Wynagrodzenie za zniesienie prywatnych propinacyi w Królestwie Polskiem będzie obliczone jeszcze w bieżącym roku. Odszkodowanie będzie wypłacone gotówką lub w czteroprocentowej rencie. Ministeryum właśnie naradza się, jak wypłacić wynagrodzenie; w jesieni zajmie się tem także rosyjska Rada Państwa. Donoszą o tem petersburskie *Nowosti*.

Nowe sądy powiatowe powstaną z dniem 1 listopada rb. w Ottynii i Podwołoczyskach.

Przeciw katastrofom kolejowym. Ministerstwo kolejowe wezwało wszystkie dyrekcye kolei, aby postarały się o nowe siły urzędnicze dla nadzoru tam, gdzie urzędnik ruchu wskutek przeciążenia pracą nie może osobiście przekonać się, czy przy wjeździe pociągu na stacyę zwrotnice zostały należycie ustawione.

Ernest Breiter, wydawca *Monitora*, zaczął dziś odsiadywać karę jednomiesięcznego więzienia za obrazę czci starosty Bilińskiego.

Zakaz gry w loteryę klasową węgierską wydał minister skarbu. Ostrzegamy przeto przed zakupowaniem losów klasowej loteryi węgierskiej, którymi zarzucają publiczność rozmaici ajenci.

Ospa wybuchła nagminnie w Kozowej w pow. brzeżańskim.

Kierowniczką żeńskiego oddziału kolonii wakacyjnych w Brzuchowicach jest panna Marya Urba, nauczycielka szkoły Konarskiego ze Lwowa.

† **Jakób Burckhard**, profesor historyi i historyi sztuki w uniwersytecie bazylejskim, autor licznych dzieł z dziedziny historyi, sztuki i cywilizacyi, zmarł w poniedziałek w Bazylei, liczący 79 lat wieku.

Do Krynicy przybyło w dniach 28 i 29 lipca 432 osób.

Uczczenie ś. p. Jelinka. W Zakopanem za inicyatywą artysty-malarza Walerego Eljasza umieszczono w uroczym miejscu, w dolinie Strążysk na skale, przy drodze poza Kominami, pamiątkową tablicę żelazną. Na tablicy tej jest wyryty napis wypukłemi literami: „Na cześć i sławę Edwarda Jelinka, szlachetnego syna pobratymczego narodu czeskiego, wiernego przyjaciela Polaków, tablicę tę na skale tatrzańskiej umieścili zebrani z całej Polski rodacy w r. 1897". Odsłonięcie i poświęcenie odbyło się uroczyście dnia 7 b. m. Mimo ulewnego deszczu około siedmset osób uczestniczyło w uroczystości. Przemawiali ks. dr. Antoni Ziebura i literat czeski Adam Czerny, a po poświęceniu chór dziewcząt góralskich odśpiewał w polskim przekładzie pieśń czeską „Kde domov muj", a wreszcie wszyscy razem śpiewali „Boże coś Polskę" przy towarzyszeniu muzyki klimatycznej.

Z Warszawy donoszą: Składki na pomnik Mickiewicza — jak wiadomo — zostały już zamknięte. Ponieważ jednak wciąż jeszcze do redakcyi pism warszawskich napływały ofiary, przeto w porozumieniu z komitetem budowy pomnika postanowiono przyjmować nadal jeszcze datki, które następnie miały posłużyć na uczczenie pamięci wieszcza w innym jeszcze kierunku, np. na utworzenie kasy zapomogowej dla literatów. W jaki sposób owe po zamknięciu składek na pomnik nadesłane pieniądze będą użyte, na razie decyzya nie zapadła. Niepodobało się to prasie rosyjskiej, więc poczęła z tego powodu dzwonić na alarm. Wskutek tego dnia 8 bm. zjawili się w redakcyach wszystkich czasopism i dzienników tutejszych komisarze z odnośnych cyrkułów policyjnych, zawiadamiając wydawców, że ze względu na zamknięcie przez komitet składek na pomnik Mickiewicza, nadal nie wolno już pismom zbierać na ten cel pieniędzy. Komisarze ci zobowiązali redakcye piśmiennie, że nie będą od dziś dnia nadal przyjmowały ofiar na pomnik, a pieniądze, jakiemi na ten cel rozporządzają — przeleją zaraz do kasy komitetu.

Z Kołomyi donoszą: Odbył się tu wiec robotniczy ruskich radykałów, na którym uchwalono telegraficznie wezwać ks. Grobelskiego do złożenia mandatu z 5-tej kuryi. Uchwałę natychmiast wykonano.

Konkurs na obraz olejny. Zarząd Salonu Sztuk Pięknych Aleksandra Krywulta w Warszawie, w celu uczczenia jubileuszowej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza w roku przyszłym, ogłasza niniejszem konkurs artystyczny na obraz olejny, osnuty na tematach z utworów lub życia genialnego poety i przeznacza dwie nagrody, a mianowicie: 300 i 200 rubli. Termin nadsyłania prac przy zwykłych warunkach konkursowych, oznacza się na dzień 15 lutego 1898 r. włącznie.

Adolphanski i Desobieski — tak się nazwali jacyś socyaliści, których aresztowano w Genui z polecenia rządu włoskiego. Chociaż rząd rosyjski ściga ich i poszukuje wszędzie, jako niebezpiecznych nihilistów, Rosyan — prasa włoska nazywa aresztowanych „polskimi" socyalistami.

Nominacye w Warszawie. Jak donoszą z Warszawy, książę Imeretyński mianował Adama hr. Zamojskiego, Jerzego księcia Radziwiłła i Włodzimierza barona Frederiksa urzędnikami zarządu cywilnego do dyspozycyi jenerał-gubernatora.

Aresztowanie. W Krakowie aresztowano robotników Wojtaszka i Małotę w podejrzeniu, iż oni to zamordowali włościanina z Krowodrzy, Kazimierza Szostaka.

Fatalna trzynastka. Dziennikarzowi i publicyście lwowskiemu, p. Tadeuszowi Zadurowiczowi, zamieszkałemu przy ul. Kurkowej l. 5, usługiwał od dawnego czasu „fachowy posługacz kawalerski" niejaki Walenty Kozubata. Pan Zadurowicz obdarzał zupełnem zaufaniem Walentego, bo niejednokrotnie pozostawiane na stolikach dla wypróbowania jego uczciwości, przeliczone cygara i pieniądze, nie ginęły nigdy. Nic więc dziwnego, że p. Zadurowicz, wyjeżdżając temu kilka dni na świeże powietrze, pozostawił klucze do swego pomieszkania, zaopatrzonego notabene w bogatą garderobę, cenne książki i dzieła sztuki, z zupełną ufnością Walentemu. Tymczasem okazało się, że Walenty nie zasługiwał na zaufanie, jakiem go obdarzano. W kilka dni po wyjeździe swego pana, zawarł Kozubata z „fachowym" lwowskim złodziejem, Franciszkiem Jędrzejowskim, następujące *pacta*: „Ja odsunę zasuwki od drzwi wchodowych do pomieszkania, wskutek tego drzwi, choć dla pozoru będą zamknięte, z łatwością się otworzą. Ja dostanę za to od ciebie połowę zysku, a zysk nie mały, bo mój pan ma wszystkiego po 13: 13 surdutów, 13 kamizelek itd." Jak pomyślano, tak wykonano: plan się udał. „Fachowy złodziej" Jędrzejowski okradł p. Zadurowicza doszczętnie. Nie długo jednak cieszyli się bogatym łupem Kozubata i Jędrzejowski. Rewizor policyjny Günsberg aresztował obydwóch, gdy objuczeni skradzionemi rzeczami, chcieli wsiadać na Podzamczu na pociąg do Tarnopola, gdzie zamierzali spieniężyć swoją zdobycz.

Janowi Styce, artyście-malarzowi, ukradziono cztery pierścionki wartości około 400 złr. Sprawcą jest lokaj p. Styki, Franciszek Putek, którego też natychmiast aresztowano. Putek jest znanym policyi z albumu zbrodniarzy i złodziei, wypuszczonych na wolność po odsiedzeniu kary więziennej, umiał się jednak tak zachowywać wobec swego chlebodawcy p. Styki, że ufał mu zupełnie.

Trojaczki. W nowosądeckim szpitalu powszechnym urodziła wczoraj rano zarobnica Anna Wałko z Zabełcza trzech synów donoszonych i dobrze rozwiniętych. Matka i dzieci mają się zupełnie dobrze.

Samobójstwo uczonego. We Frankfurcie nad Menem otruł się kwasem witryolowym znakomity profesor chemii Wiktor Mayer, który po Bunsenie objął katedrę w uniwersytecie heidelberskim. Powodem samobójstwa miała być nieszczęśliwa miłość. Liczył on lat 49. Pogrzeb odbył się wczoraj.

Wpływ gimnastyki na rozwój sił. Profesor stanisławowskiego gimnazyum, p. Józef Mazur, który z zajęciem bada, jaki wpływ wywiera gimnastyka na rozwój sił fizycznych młodzieży szkolnej, ogłosił w *Przewodniku gimnastycznym* rezultat ćwiczeń gimnastycznych w gimnazyum stanisławowskiem za ubiegły rok szkolny. Wykaz ten ma na celu obalić twierdzenie najnowsze niektórych hygienistów, jakoby gimnastyka nie wspierała rozwoju sił. Autor przeto odsyła nas najpierw do sprawozdań gimnazyum I w Gracu, gdzie od roku 1890 jest obowiązkowa 2 godzin na tydzień nauka gimnastyki. Rezultaty tamtejsze mają być o wiele dodatniejsze aniżeli rezultaty gimnazyum stanisławowskiego, w którem uczniowie ćwiczą nadobowiązkowo i tylko jedną godzinę w tygodniu. Przyrost sił w gimnazyum stanisławowskiem przedstawia się tak: W porównaniu z półroczem pierwszem, uczniowie w półroczu drugiem zyskali na siłach: w klasie pierwszej 15·32%, w drugiej 13·26%, w trzeciej 12·54%, w czwartej 13·96%, w piątej 13·59%, w szóstej 12·91%, w siódmej 19·51%. Ogólny przyrost sił ćwiczących uczniów całego gimnazyum wynosił w przecięciu 14·42% na jednostkę. Pomiarów dokonano w pierwszych dniach lutego i w pierwszych dniach lipca. Dla uwydatnienia korzyści nauki gimnastyki podnosi sprawozdawca, iż uczniowie pod koniec roku szkolnego wyczerpani i zmęczeni są nauką i upałami, a gmach gimnazyalny jest pod względem hygienicznym zacofany. Wreszcie zaręcza, że im pilniejszem było uczęszczanie uczni na gimnastykę, tem większy przyrost sił. Ci, którzy uczęszczali nieregularnie, u tych przyrost był albo bardzo mały albo nawet żaden.

Skutki kobiecych rządów. Gazety amerykańskie donoszą: W mieście Jamestown (Stan Kanzas), podczas ostatnich wyborów, kobiety otrzymały wszelkie urzędy miejskie, poczynając od burmistrza. Pierwsze starania tej nowej, niewieściej władzy skierowały się... ku podniesieniu moralności mężczyzn. Obostrzenie paragrafów odpowiednich nie wydało się dość skutecznem, czy dość szybko działającem, zabrały się więc kobiety do energiczniejszych środków. W tych dniach uzbrojone w siekiery i młoty, wtargnęły późnym wieczorem do jednego z najbardziej uczęszczanych lokalów gry. Płeć mocniejsza umknęła z placu natychmiast. Wśród radosnych okrzyków tłumu, zaglądającego przez oka, porąbano sprzęty, piwo i wódkę wylano do rynsztoka. Niestety — każdy medal ma dwie strony; dobre przedsięwzięcie wydało na razie zły skutek: pospólstwo zaczęło pić alkohol strumieniem płynący i w podnieceniu dopuściło się różnych nadużyć.

Jak się żywią węże? W zwierzyńcu paryskiego ogrodu botanicznego znajduje się południowoamerykański wąż boa, który stanowi przedmiot obserwacyi, zajmujący ze względu na to, w jaki sposób się żywi. Wąż ten, 20 stóp długi, jadł 34 razy w ciągu lat sześciu czyli przeciętnie 5—6 razy na rok i w odstępach 28—204 dni. Zwierzę samo oznacza porę, w której ma pokarm przyjmować, okazując głód za pomocą charakterystycznego niepokoju. Pokarm składał się dotychczas z młodych kóz, chociaż kilka razy połykał wąż króliki, a raz gęś. Największem zwierzęciem, które płaz dotychczas skonsumował, była koza, która ważyła 26 funtów, a zatem szóstą część całej wagi węża. Wiadomem zaś jest, że węże mogą połykać zwierzęta prawie tak wielkie jak one same. Zauważono raz w pewnej menażeryi, jak żmija afrykańska połknęła swoją towarzyszkę, większą od siebie żmiję francuską. I żarłok ten pomimo tak nadzwyczajnej uczty nie uczuł żadnych dolegliwości. Węże mają narząd trawienia nadzwyczaj silny i niestrawialne części każdej uczty wychodzą już w kilka dni po jej spożyciu.

Szybkość lotu jaskółki. W towarzystwie kilku gołębi pocztowych wypuszczono w Compiègne jaskółkę, ubarwioną sztucznie na czarno, a gnieżdżącą się w Antwerpii. Jaskółka natychmiast, nie tracąc czasu na oryentowanie się, jak gołębie, puściła się lotem strzały ku Antwerpii. W godzinę i 8 minutach była w swojem gniazdeczku, odległem od miejscowości skąd ją puszczono o 255 kilometrów. Gołębie potrzebowały na tę samą drogę 4 godziny i 8 minut. Okazuje się z tego, że szybkość lotu gołębi wynosi na sekundę 16 metrów, a jaskółki 62 metr. Wobec tego, co zresztą potwierdzają obserwatorzy, leci jaskółka z zimowych swoich leży, z Afryki, do naszych okolic nie dłużej jak pół dnia.

Zmarli. We Lwowie Melania Ilewicz, żona adwokata, w 30 r. życia.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 17, w poł. + 19 R., Bar. 768. Podnosi się. Pochmurno.

Konsultacya. Chora, głównie z przywidzenia, pani N. przychodzi do doktora i przez kwadrans opowiada mu swoje dolegliwości. Skończywszy wreszcie, wzdycha:

— A teraz, doktorze, radź, radź, gdyż jestem bardzo chora.

— Ależ przeciwnie, szanowna pani — odpowiada z flegmą eskulap — podziwiam pani zdrowie. Trzeba istotnie kolosalnych sił, aby znieść to wszystko, co pani mi opowiedziała.

Aforyzmy.

Stary kawaler staje się w końcu tylko sprzętem w inwentarzu restauratora.

Można mieć wiele szczęścia, a jednak nie być szczęśliwym.

Są ludzie, którzy są podziwiani tylko dlatego, że nie są dostatecznie rozumiani.

LITERATURA I SZTUKA.

* **Józef Sokołowski: „Słowik"**, legenda zamierzchłych czasów. Lwów, nakładem autora.

Legenda ta, napisana wierszem, opowiada dzieje pewnego młodego słowika, który całe swe życie spędził na szukaniu ideału, póki go wreszcie nie osiągnął. Opowiadanie rozpoczyna się pięknym opisem włoskiej przyrody. Tam „w tym kraju piękna i poezyi" w gaju lauru, siedziały dwie ptaszyny: młody i stary słowik. Młody słowik wpatruje się ciągle w niebo, które wywierało nań jakiś wpływ przyciągający.

„Powiedz mi ojcze, rzekł słowiczek młody,
Co to za kula błękitna jak wody,
Co się nad nami w krąg wielki roztacza,
Po niej Hesperus swe kręgi zatacza!
I zda się oku w tym wielkim przestworze,
Że wszystkie gwiazdy i systemy słońca
Bieg mają wolny, jak gdyby bez końca.
A gdy się wpatrzę w tę głębię jak w morze,
To mi się zdaje, że oko me tonie
Gdzieś w nieskończoność — i czuję w mem łonie,
Że tam jest jakiejś aureoli zorze,
Które otacza jakieś majestaty;
Czy to już ojcze tak było przed laty?"

Na to mu stary słowik wytłómacza w sposób prozaiczny i trzeźwy:

„Słuchaj mię synu — od dziada, pradziada
Zawsze tak było od pierwszych chwil bytu.
To, co tą kulą zdaje się być tobie,
To jest firmament — i nie ma nic w sobie,
Prócz eterycznej przeźroczy błękitu.
Ja już bywałem w różnej świata stronie
Lecz wszędzie oko w tym błękicie tonie.
A co tam dalej w niebiosów rejonie...
By to odgadnąć — to daremna praca!"

Dodaje jednak, że jeden z jego protoplastów, słowik-poeta, gdzieś z polskiej wikliny, pragnął wznieść się do nieba i wzleciał już bardzo wysoko, lecz skrzydełka mu osłabły i musiał wrócić na ziemię. Tylko ten bowiem ze słowików może się do nieba dostać, kto napił się najczystszej wody na świecie — tak jest napisane w księgach przeznaczenia. Chociaż jednak ów słowik nie dostał się do nieba, to przecież w błękitach, które zwiedził, zasłyszał melodye tak piękne, że przybywszy na ziemię, śpiewał najpiękniej ze wszystkich ptaków i pieśni tej wyuczył wszystkich swoich potomków.

Odtąd młody słowik wciąż marzy o tem, gdzieby znaleść tę najczystszą krynicę i wzlecieć w niebo. Opuszcza gniazdko rodzinne i szuka jej po całym świecie wśród rozmaitych przygód. Schwytał go jakiś marynarz, wsadził do klatki i zawiózł na północ. Tęsknota ptaszka-fantasty, zamkniętego w klatce, coraz bardziej się wzmaga, lecz wskutek tego i melodye jego stają się coraz pełniejsze, coraz piękniejsze. Wreszcie wypuszczają go z klatki, słowik leci w bór między inne ptaki i choć niepozorny upierzeniem, odnosi swym śpiewem całkowity tryumf. Nie ma ptaszka, któryby mu sprostał, wszyscy mieszkańcy gałęzi leśnych zlatują się do niego i witają serdecznie.

„Więc kos świstalski zbliża się do niego,
A z podziwienia aż dzióbek otworzył,
Dygnął, zaświstał, i ukłon mu złożył.
Potem zapytał: skąd jesteś śpiewaku,
I czemu nucisz pieśń wśród tego krzaku,
I w którym kraju rodzisz się kolego.
I gil i szczygieł, nawet drozd i szpaki,
Jakoteż rzeszy naszej różne ptaki,
Które tam siedzą za tym drzewa złomem,
Których zwabiłeś harmonijnym tonem,
Z pełnym uznania słuchały podziwem,
I tylko wróbel świergotem złośliwym
Kpić śmiał z twych tonów i chciał ci zarzucić,
Że mógłbyś trochę całą aryę skrócić,
Że tryle nie są dosyć wyrobione,
Gamy nierówno w tonie wygłoszone,
Że twe alegro i twe andantino
Są bez melodyi — i bez crescentino.
Że ton się gubi i nie jest dość tkliwy,
Że mógłby tobie dać jeszcze naukę
I swoją znaną metodę przyswoić,
Aby wyrobić piewcy wyższą sztukę.
Lecz tylko wróbel jeden się naśmiewa,
My cię zaś wszyscy z podziwem słuchali,
Bo twoją pieśnią — jakaś arya z nieba,
Którejśmy dotąd w tych stronach nie znali,
Chociaż tu żywią różnych ptaków rzesze,
Więc cię prosimy: Zaśpiewaj nam jeszcze!"

Lecz ani w morzu, ani na łonie róży, ani w żadnej krynicy nie ma kropli tak czystej, żeby mogła w słowika-poetę wlać siłę do wzniesienia się w niebiosa. Słowik błądzi po całym świecie, wszędzie uważają go za dziwaka, wreszcie raz wśród jesieni opuściły go siły, skostniały spadł z drzewa na ziemię i leżał na mchu prawie martwy. Znalazło go tak dwoje dzieci, które wyszły do lasu nazbierać chrustu. Dziewczynka wzięła ptaszka na ręce, ogrzała i płacząc, zbudziła go do życia. Zbudzony słowik, któremu łzy te zwilżyły dzióbek, poznał, że te łzy litości i wiary to jest ta najczystsza woda, której tak dawno szukał. Siły uczuł w swem wątłem ciele jakby boskie i wzniósł się w przestwory niebieskie, aż do tronu Bożego.

Cały ten poemat różni się od wszystkich wychodzących teraz poezyi, romantycznym idealizmem, którego dewizą jest: tylko w czystych źródłach szukać natchnienia dla poezyi. Myśl przewodnia jest bardzo filigranowa i nie rozwinięta przekonywująco, a forma często niezgrabna, pomimo tego jest w poemacie pewna rodzima oryginalność, rozmach i świeżość. Bardzo oryginalnie pomyślane są n. p. pieśni, które śpiewa słowik, bohater poematu. Króciutki utwór p. Sokołowskiego przeczyta każdy z satysfakcyą, dla tego polecamy go naszym czytelnikom, zwłaszcza, że forma zewnętrzna wydania jest bardzo miłą dla oka.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 9 sierpnia.

(Z.). Nowy tydzień rozpoczęto dziś intensywną zniżką. Wprawdzie toasty cesarskie wypowiedziane w Petersburgu uważają powszechnie za nowy objaw wzmocnienia pokoju europejskiego, wszelako ten dodatni wpływ tylko teoretycznie odczuwano na giełdzie, techniczne zaś motywa z nieprzepartą siłą pchały ku zniżce. Sprzedaże dzisiejsze były znaczne, a popyt stosunkowo bardzo niewielki. Znaczne partye walorów naszych rzucił dziś na targ arbitraż berliński, nasi zaś spekulanci bezzwłocznie poszli za tem hasłem, chcąc uratować bodaj część zysków osiągniętych ze zwyżki ostatnich dni. Alpiny spadły na 134, spadek w akcyach bankowych od $1\frac{1}{2}$ do 4 złr., w walorach przemysłowych zniżki są jeszcze większe. Renty podrożały o 5 do 10 ct.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 369·25, węgierskie 399.—, Anglobanki 162·—, Uniony 302·50, Bankvereiny 259·50, Länderbanki 241·25, Ludwiki 216·25, Czerniowieckie 282·50, Elbethale 260·—, Renta papierowa 102·15, srebrna 102·25, austryacka złota 123·50, austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 122·50, węgierska renta wal. kor. 100·15, dukat 5·64, 20-frankówka 9·51½, marki 11.73—, ruble 1.27—.

§ **Ceny zboża. Wiedeń** 9 sierpnia. Skutkiem lepszych notowań zagranicznych wzmocniła się tendencya, zwłaszcza co do pszenicy i żyta. P s z e n i c a na jesień 11.25—11.33, na wiosnę 11.05 - 11.16, Ż y t o na jesień 8.70—8.72, na wiosnę 8.85—8.86, o w i e s 6.41, k u k u r u d z a 5.21, r z e p a k 13.40 - 13.70.

Wiedeń 10 sierpnia. P s z e n i c a na jesień 11.27—11.32, na wiosnę 11.09—11.14, ż y t o na jesień 8.62—8.72, o w i e s 6.45, k u k u r u d z a 5.24, r z e p a k 13.45—13.55.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 9 sierpnia. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1203, węgierskich 3654 i niemieckich 736, razem 5593 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 31, dobre ciężkie 32 do 33, osobliwe prima 34 do 35, wyjątkowo 36 zł., za buhaje i krowy 20 do 30 zł., wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

Sprawozdanie banku rolniczego. Lwów 11 sierpnia 1897.

Mimo słabszego usposobienia na targach zagranicznych u nas zboże gotowe poszukiwane, za które płacą wyższe ceny niż za zboże na termina późniejsze. Pszenica ma eksport do Morawii, podczas gdy żyto po cenach wysokich ma zbyt lokalny. Spirytus teduje zwyżkowo.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 10·25 do 10·50, nowa 0·— do 0·—, żyto gotowe 7·50 do 8·—, żyto nowe 0·— do 0·—, owies obroczny 7·50 do 8·50, Jęczmień 5·50 do 6·—, rzepak nowy 11·75 do 12.25, lnianka 0·— do 0·—, groch 0·— do 0·—, wyka 4·25 do 5·—, bobik 4·80 do 5·—, hreczka 7·50 do 8·50, kukurudza 6·— do 8·—, chmiel nowy za 56 kl 60·— do 65·—, koniczyna czerwona —·— do —·—, koniczyna biała —·— do —·—, koniczyna szwedzka —·— do —·—, tymotka —·— do —·—, spirytus loco stacye kolei gotowy 16·50 do 17·50, spirytus na termina 15·50 do 16·—.

Telegramy Przeglądu.

Peszt 11 sierpnia. Sejm węgierski zostanie dziś odroczony do 27 września.

Petersburg 11 sierpnia. Po rewii wojskowej w Krasnem Siole odbył się obiad galowy, a wieczorem wspaniałe przedstawienie baletowe na wyspie Olgi.

Rosyjscy oficerowie marynarki urządzili wczoraj ucztę dla niemieckich kolegów, majtków zaś niemieckich goszczono w ogrodach publicznych.

Paryż 11 sierpnia. Dziś zarządzi policya wydalenie mnóstwa emigrantów hiszpańskich.

Matin sądzi, że zatarg księcia Henryka Orleańskiego z oficerami włoskimi załatwiony zostanie bez pojedynku.

Aix les Bains 11 sierpnia. Prezydent Faure był wczoraj na bankiecie danym na cześć jego przez zarząd gminny, poczem udał się z powrotem do Paryża.

Peterhof 11 sierpnia. Hr. Murawiew odbył wczoraj długą konferencyę z ks. Hohenlohem, z p. Bülowem i z ambasadorem niemieckim ks. Radolińskim.

Madryt 11 sierpnia. Morderca Canovasa stawiony zostanie przed sąd wojskowy.

Wiedeń 11 sierpnia. Król serbski odjechał do Karlsbadu.

Mohilew 11 sierpnia. W mieście Mścisławie wybuchł wielki pożar i obrócił w perzynę 200 domów, przeważnie żydowskich. Pastwą płomieni padła synagoga i sześć domów modlitwy.

Madryt 11 lipca. W chwili gdy zwłoki Canovasa przywieziono do Zumarraga, aresztowano na tej stacyi jakiegoś cudzoziemca, którego zachowanie się było podejrzanem.

Konstantynopol 11 sierpnia. Ambasadororowie odbyli wczoraj rano poufną naradę, a po południu odbyła się konferencya pokojowa w pałacu Tophane.

Prezes gabinetu bułgarskiego Stoiłow miał wczoraj długą rozmowę z wielkim wezyrem. Książę Ferdynand odwiedził wczoraj exarchę i dyplomatycznego ajenta bułgarskiego i oddał swe karty wizytowe we wszystkich ambasadach.

W Yldiz kiosku odbył się wczoraj obiad galowy na cześć księcia. Książę w obrębie pałacu sułtańskiego nosi tylko mundur tureckiego marszałka.

Dziś po południu wraca książę do Bułgaryi.

HOTEL IMPERIAL

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 11 sierpnia. Jan hr. Harrach z Pragi. Jul. książę Puzyna z Narola. Olga Reyman z córkami z Warszawy. Dr. Wł. Gawański z Pilzna. Ks. Stanisław Gromnicki z Buczacza. Michał Torski z Tarnobrzega. Emil Feher z żoną z Beregszasz. Karol Kawecki z Cieszanowa. Wilhelm Herbert z Berlina. M. Gelber z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 sierpnia Dr. Szczaniecki i L. Mikucki z Gorlic. J. Spandor z Czerniowiec. J. Wolgner z Komorówki. M. Osuchowski z Kutyszyna. Z. Haszlakiewicz Gotleb z Mościsk. E. Blumberg z Hamburga. G. Broders z Wiednia. A. Ostaszewski z Rosyi. E. Lego i dr. M. Wurcel z Suczawy. Fr. Wotruba, A. Mastny, dr. C. Schwartz i J. Otto z Pragi. Milan Mixa z Przibram.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 sierpnia. E. hr. Raczyński z Krakowa. W. hr. Dzieduszycki z Jezupola. J. Horodyski z Horodnicy. A. hr. Męciński z Dukli. M. Harsdorf z Świstelnik. A. Zawadzki z Białobożnicy. R. Mayer z Wiednia. Dr. St. Stojałowski z Tarnowa. J. Freundorf z Okna.

HOTELE K. JANOWICZA

BELLEVUE i METROPOL

we Lwowie.

Przyjechali dnia 11 sierpnia. S. Litmann z Brodów. W. Gora i J. Fuchs z Czerniowiec. Ks. S. Berezowski z Dobrostan. K. Opałka z Brzeżan. N. Tartakowez z Krakowa. J. Schwarz z Przemyśla. W. Gazda z Sambora. K. Szymański z Kniaźdworu. W. Rojek z Salzburga.

Lwów dnia 11 sierpnia. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215 — do 218.— Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 281 — do 285.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380 — do 390.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.— Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.20 do 110.90, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc los. w 51 lat 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97·50 do 98.20. 4 proc. los. w 56 lat 97.20 do 97.90.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98.— do 98.70, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·20 do 102.90 Kolejowe lokalne Banku krajowego 4% po 200 koron 96.50 do 97.20. Pożyczki kraj. 6 proc. 108.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—. 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98.50, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97 — do 97.70.

Wiedeń 20 sierpnia. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 368·62, węgierskie akcye kredytowe 396.00, anglobanku 161·50, związku bankow. 260.50, unionbanku 302.00, länderbanku 241.50, kolei państwowych 351·25, lombardów 84·50, kolei nadłabskiej 260.00, akcye tytoniowe 161.50, rima 271·50, alpiny 137·40, renta majowa 102·25, renta koronowa węgierska 100.25, losy tureckie 65.50, marki 58·72, ruble 127.—.

45)

KTO WINIEN?

Powieść

przez

E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

„A czy wiesz pan napewno, że nim był?" zagadnąłem. „Czy słyszałeś pan kiedy o jakich scenach lub zajściu między sir Courtenayem a panem Blakem?" — „Nie, nigdy" odparł Jebb; „pielęgnowałem lady Courtenay podczas ostatniej jej choroby i mogę zaświadczyć, że sir Everard był najprzykładniejszym mężem." — „I nigdy nie poróżnił się z Blakem?" — „Nigdy." — „Kiedy tak, mój panie medyku" rzekłem, „to wszystkie pańskie przypuszczenia są pozbawione wszelkiej podstawy." — Na to Jebb wzruszył ramionami i uśmiechnął się. „Trzeba o czemś mówić" odparł, „od tego człowiek ma gębę. Mową różni się on od zwierząt."—Miałem ochotę powiedzieć mu, że jest osioł; ale zużytkowałem jego podejrzenia i wypaliłem niemi jak ślepym nabojem, który jednak trafił w sedno, jak to pani zauważyłaś.

— I nic pan nie wiesz o rzeczywistym mordercy?

— Nic zgoła. Ale po co pani sobie tem zaprzątasz głowę? Wyrok ojca pani został złagodzony. Kara, jaką obecnie odsiaduje, nie jest sroższą od tej, która bywa zwykłem następstwem kradzieży, do której sam się przecież przyznał. Nie ma więc powodu uskarżać się.

— Nie — odparła. — On biedak jest zadowolonym ze swego losu. Nie sądzę, żeby długo jeszcze musiał pokutować za swoją winę... Ale ja, panie, mam w Ameryce czworo drobnych dzieci, których ojciec jest jednym z najlepszych i najuczciwszych ludzi pod słońcem. Czyż synowie moi i córki mają się dowiedzieć kiedyś, że dziadek ich był zabójcą? Czy mój zacny mąż ma znosić taką plamę na nazwisku swojej żony?... Wszyscy nasi znajomi i przyjaciele w Bostonie czytali szczegóły kryminalnego procesu w Highclere i wiedzą, za kogo uchodzi mój ojciec. Przybyłam więc z Ameryki po to, aby imię jego oczyścić z hańby.

— Obawiam się, że fatygowałaś się pani naprózno — życzliwie odparł adwokat. — Sprawa zabójstwa pana Blake'a pogrzebaną została na zawsze przez proces i ukaranie ojca pani. Sąd przysięgły uznał go za winnego. Złagodzenie wyroku jest tylko czynem litości ze strony władzy.

— Ale gdyby się udało dowieść, że inny człowiek dokonał morderstwa; gdyby inny widział się zniewolonym przyznać się do winy?

— Gdyby, gdyby! — uśmiechnął się z niedowierzaniem pan Tomplin.

— Więc pan w niczem nie możesz mi dopomódz? Nie możesz dać mi żadnej rady, żadnej wskazówki?

— Niestety, nie. Żałuję, że pani trudziłaś się naprózno.

— Nie całkiem naprózno. Dobrze, żem się dowiedziała, na jak urojonych podstawach oparte były moje nadzieje. A jednak sir Everard musiał mieć coś na sumieniu, bo inaczej nie byłby taki pomięszany przy badaniu.

— Nic nie wiem. Może go podrażniła ta wzmianka o zmarłej żonie. Sam wyrzucałem sobie moją niedyskrecyę; ale coś przecie trzeba było powiedzieć. Mam nadzieję, że wierzysz pani, iż zrobiłem wszystko, co mogłem, dla jej ojca!...

— Nie wątpię o tem. Żegnam pana i dziękuję za łaskawe przyjęcie, jakiego od niego doznałam.

— Żegnam panią i mocno żałuję, że nie mogłem nic zrobić dla niej.

Mistress Barnard wyszła z kancelaryi tak spokojnie jak weszła, i następnym pociągiem powróciła do Highclere.

ROZDZIAŁ XXIV.

Zdziwienie Mortona, gdy się dowiedział, że sir Everard wraz z córką wyjeżdża na południe, było równie wielkie jak nieprzyjemne. Pierwszym jego popędem było towarzyszyć narzeczonej, ale sir Courtenay oparł się temu.

— Za nic w świecie nie pozwolę na to, abyś zwichnął sobie karyerę z przyczyny moich słabych płuc — rzekł. — Wybory w Highclere mają się odbyć w początkach lutego, a ty postawiłeś już swoją kandydaturę i nie możesz jej cofać. Będziesz miał wiele do roboty, jeżeli zechcesz się utrzymać; bo słyszę, że walka stronnictw będzie zacięta. Nie, mój kochany Mortonie; ty pilnuj na miejscu swoich interesów politycznych, a my z Izią tymczasem będziemy sobie spokojnie błądzili po Rivierze, a potem na jaki miesiąc może popłyniemy do Kairu. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to wrócimy razem z jaskółkami.

— Ale to tak daleko do tego! — odparł Morton blady i poważny z żałosnem spojrzeniem na Izię, stojącą obok ojca z ręką zaplecioną w dłonie narzeczonego, z sercem podzielonem pomiędzy dwa uczucia. — Jakże ja potrafię żyć bez Izi przez całe długie trzy miesiące!

— Potrafiłeś żyć bez niej tyle lat...— odparł baron z odcieniem złośliwości.

— Bo nie wiedziałem, że świat zawiera taką perłę; ale poznawszy ją i pozyskawszy dla siebie, czuję, że bez niej życie będzie dla mnie ciężarem. Sir Everardzie, pozwól mi dać za wygranę tym wyborom i towarzyszyć sobie za granicę. To mi da jakby przedsmak miodowych miesięcy.

— Nie trzeba nigdy naprzód wyzyskiwać tych rozkoszy. Podziwiałem i sympatyzowałem z twymi ambitnymi celami, Mortonie. To cię postawiło wyżej po nad powszedni poziom młodzieży. Miałbym ci też bardzo za złe, gdybyś sobie tak lekceważył swoje nadzieje i nimby tydzień upłynął, sam gorzko żałowałbyś tego.

— Ale przynajmniej w zamian zyskałbym szczęście.

— I w tem się mylisz. Szczęście nie idzie w parze z pogardą dla samego siebie; nie godzi się celów wyższych poświęcać mu w ofierze. Czułbyś się bardzo nieszczęsl wym

— Nie, mój drogi. Nie trzeba, abyś jechał z nami — przekładała Iza. — Byłabym zrozpaczoną, gdybyś dla mnie poświęcił twoje szlachetne ambicye.

Spojrzała na niego oczyma pełnemi miłości i zachwytu, jak gdyby był męczennikiem lub bohaterem i jakby przed nim nikt nie pokusił się nigdy zasiąść w parlamencie i walczyć w obronie ludzkości.

Po długich sporach stanęło nareszcie na tem; że Morton miał towarzyszyć podróżnym tylko do Paryża, następny zaś miesiąc postanowił poświęcić na przygotowanie gruntu pod swój wybór. Sir Everard powrócił był z Londynu w sobotę, a rozmowa ta toczyła się nazajutrz, w niedzielę, w saloniku Izi. Morton przyjechał do Fairview po wczesnym obiedzie, podczas gdy siostry udały się do Highclere na nieszpory. Narzeczeni smutno rozstali się z sobą tego wieczoru, pomiędzy dziesiątą a jedenastą, w połowie szpaleru lipowego; Izia bowiem, na prośbę Mortona, zarzuciła na siebie ciepły pled i poszła go odprowadzić do bramy.

— Ktoby to był przewidział, że nas czeka takie zmartwienie, gdy byliśmy tacy weseli i szczęśliwi w wigilię Bożego Narodzenia? — rzekł Morton niepocieszony.

— Chcesz powiedzieć, gdy ty i lady Frances Grange byliście tacy weseli i szczęśliwi, bo mnie nie wiele zaszczycałeś swojem towarzystwem tego dnia — odparła z lekkim przycinkiem Izia.

— Iziu! czyż mogłabyś być zazdrośną?!

— Zdaje mi się, że tak... gdybym spróbowała — odparła niepewnym głosem.

— Mój aniele, taka myśl jest niegodną ciebie. Co się tyczy biednej, małej Fani — rzekł, odzywając się o niej, jakby o jakim pokojowym pinczerku — to jesteśmy z sobą na stopie raczej poufałości niż przyjaźni. Ona mi ufa zupełnie i ja jej, i wie, że jest jedna tylko kobieta na świecie, którą kocham i kochać mogę miłością. Ale nie traćmy krótkiego czasu na mówienie o takich niedorzecznościach. Chciałbym się coś dowiedzieć o tem nagłem zasłabnięciu twojego ojca?

— To nie było takie nagłe, Mortonie. Biedny papa cierpiał w przerwach już od paru lat. Nie chciał mnie martwić i trwożyć, więc krył się z tem przede mną, ale pomimo tego przeczuwałam nieraz, że mu coś dolega. Były dni, w których wydawał się mocno przygnębionym i noce spędzał bezsennie. Obserwowałam go w skrytości, i nieraz obawa ściskała mi serce, ale nie zdradzałam się z tem przed nikim. A teraz ten doktór z Londynu powiedział mu, że ma w sobie zarodek śmiertelnej jakiejś choroby i że tylko wielkiemi staraniami może sobie przedłużyć życie. Czyż więc możesz brać mi za złe, Mortonie, że pragnę uczynić wszystko, co jest w mojej mocy, aby pocieszyć go i rozerwać?

— Nie, najdroższa, nie mogę ci tego brać za złe; żałuję tylko, że jeszcze nie jesteś moją żoną, Iziu.

— Dla czego?

— Bo w takim razie albo pojechałbym z tobą, albo ty zostałabyś ze mną.

— Ale przecież będziesz nam towarzyszył do Paryża?

— Wielka mi pociecha!.. Dalekoż to Paryż? Dwadzieścia cztery godziny drogi co najwyżej.

— Jeżeli będziesz tak wymagającym, to za karę zostawię cię w Tangley Manorze.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białoj. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółki Hotel Zorza. Zarządca W. Hodak.